



OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI

„OKNO”

CHORZÓW 2021



Chorzów 2021

Wszystko widać przez okno.

Podsumowując XV edycję konkursu literackiego „Okno” można śmiało stwierdzić, że młodzi twórcy w swoich pracach wykazali się pomysłowością, dużą wyobraźnią i kreatywnym myśleniem, odpowiadając na bieżące wyzwania i problemy codzienności.

Z wielkiej ilości i rozpiętości utworów Jury starało się docenić przede wszystkim oryginalność, odwagę oraz poziom literacki. Ciekawych pomysłów i świadomego wykorzystywania literackich środków było wiele, a wybór pozostał wyborem.

Nie ułatwiała tego duża rozpiętość tematyczna – od opowiadań historycznych, najczęściej nawiązujących do czasów okupacji, po ukazujące spójne wizje cywilizacyjnych przemian w przyszłości. Nie zabrakło opowiadań kryminalnych, obyczajowych i przygodowych.

Tematyka utworów przysłanych na tę edycję konkursu często dotyczyła rzeczywistości pandemicznej, sporo było o miłości i przyjaźni. Często poznawaliśmy świat widziany oczami zwierząt. W prozie można było dostrzec nowatorskie próby i wielkie pokłady nieskrępowanej niczym wyobraźni.

Trochę gorzej było z poezją. To zwierciadło życia i myśli często było zbyt dosłowne, a emocje brały górę nad samym językiem i formą utworów. Słysząc w nich było echa pierwszych miłości, niespełnionych marzeń, buntu, ale i szczerą radość.

Wszystkim, którzy wzięli udział w konkursie dziękujemy i namawiamy by nie poddawali się, nadal tworzyli swoje wewnętrzne światy i przenosili je przy pomocy słów na pustą, oczekującą przestrzeń. Nie bójcie się być nowatorscy. Starajcie się zachować odpowiednie proporcje między wyrażanymi emocjami, a wyrażającymi je słowami.

Biorąc pod uwagę z jak dużym zainteresowaniem spotkał się konkurs, gratulujemy wszystkim uczestnikom, w szczególności wyróżnionym laureatom. Ich prace są nieszablonowe i ciekawe. Mamy szczerą nadzieję, że jeszcze niejednokrotnie się z nimi spotkamy i o nich usłyszymy. To prawdziwy zaszczyt.

Marcin Rokosz

POEZJA

2009-2011

I MIEJSCE

Daniel Czuj

godło: JELONEK

.....

„Chwile bezsenności... Cień”

Widziałem swój cień.
Snuł się po ulicy
Niczym zabłąkana owca.
Szedł przed siebie,
Nie rozglądając się na boki.
Nagle przystanął, podumał i poszedł.
Skręcił w boczną ulicę
I zniknął mi nagle z oczu...
Schował się gdzieś za latarnią.
Zastanawiałem się
Gdzie się podział?
Czy bawi się ze mną w chowanego?
I nagle wyłonił się zza rogu ulicy,
Popatrzył na mnie
I rozpląnął się w ciemnościach nocy...

„Żuczek”

Mały żuczek szukał schronienia
I wpadł na dużego jelenia.
Wdrapał się po jego nodze
I wystraszył się srodze.
Gdzie ja jestem, myśli sobie?
Co ja teraz zrobię?
Drepcze dalej, coraz wyżej
I chce się wdrapać jak najwyżej.
Wtem jeleni ogonem machnął,
A żuczek aż się zachnął!
Myśli sobie, co u licha?
Dlaczego to drzewo tak fika?
Mały żuczek, nie zdając sobie sprawy,
Przymierzył się do dalszej wyprawy.
Aż tu nagle spada z dużego jelenia
I ląduje na dole strumienia,
I tak płynie ciągnięty przez wir cały,
Aż się zrobił cały biały.
Końca nie widać długiego potoku
I tak płynie, płynie w półmroku...

„Głucha otchłań”

Poruszam się
W przestrzeni wirtualnej
Latam w przestworzach
Marzeń mych
Lekko unoszę się nad krajobrazem
Zamazany gęstą mgłą
Podążam w nieznana
Głuchą otchłań
Której końca nie zna nikt
Osaczony martwą ciszą
Gdzie brak poszumu fal
Ta cisza aż przeraża mnie
I wtedy już wiem
Że ukojenie znajdę tu
W samotności mej
Niedługo
Odnajdę spokój swój
I odpłynę z falami mórz

II MIEJSCE

Wiktoria Macior

godło: Eftec Women

.....

„A może by tak...”

A może by tak...

Na zwykły dobry początek

Odpłynąć stąd gdzieś

Zaryzykujemy – w świat książek.

Zostawmy lęki

Zatrzymajmy się w tym pędzie

Wejźdźmy na chwilę

W świat który i naszym będzie.

To na nas czeka

Świat niewidomej dziewczynki

I kataryniarza

Co nakręca te same dźwięki.

I jest nadzieja

Tak jak i w realnym świecie

Że się pojawi

Pan Tomasz - nadzieję przyniesie.

A może by tak ...

Zaszalejmy na całego!

Wyłączmy zbędne

Sprzęty i telewizor do tego.

Nie słuchajmy dziś

Ze świata złych

wiadomości Wejźdźmy na

chwilę

W głąb siebie- tu szukajmy nowości.

Tu na nas czeka
Ja ciekawe, niezbadane
Skarby najskrytsze
To co niewypowiedziane.

I mam nadzieję
Tak! Bo jestem w realnym świecie
Że to ja będę panem Tomaszem Co
promyk ciepła światu przyniesie.

„Jestem jak...”

Jestem jak chodzące na dwóch nogach zmęczenie
Dwanaście worków z cudami za mną się wlecze.
Ale radosne to moje bez-silne włóczenie! Dobrze, na
miarę, najlepsze - na przyszłość zaplecze.

Jestem jak wróbel na jaśminowca gałązce
Szary, naburmuszony, na deszcz obrażony.
Ale to nastroszenie kwiatem białym kwitnące
Pachnące wiosny radością, nie chęcią obrony.

Jestem jak zwykła, nie-zwyczajna muzyka:
Na dwunastolinii życia wciąż te same nuty.
Ale jak Maestro, choć nie jestem wcale próżna
Wciąż z gamy dźwięków komponuję cudne
życie.

Jestem...

„Okrzyk zdziwienia”

O! Zobacz jak żonkile idą ku słońcu
Siłą słabych listków prują zimy przędze
Niebawem zakwitną żółci zachwytem
Zapomną o smutnej jesieni i zimie w końcu

Trawa zbita kożuchem zła brudu
Przeczuwa to w sile swego korzenia
Że zmyje całe zło mocą deszczu
I wytryśnie zieleni fontanną w okrzyku zdziwienia

Szarość wróbla również zakwitnie
Na tle bujnej wiosennej zieleni
Jakżeż piękna będzie ta szarość
Co wśród liści uwija się sprytnie

O! Zobacz jak ludzi przybywa
Na ulicach, skwerach, na polach
Z nich też słońce ściąga powoli
Zamkniecie, wszystko co boli... ..

III MIEJSCE
Aleksander Tosik
godło: OT 2011

.....

„Siła marzeń”

O czym myślę, o czym marzę
Chociaż lat mam ja niewiele
Bardzo chciałbym być piłkarzem
Moi drodzy przyjaciele.

Ciężko ćwiczę i pracuję,
by co dnia być w grze najlepszym
i niczego nie żałuję.
Chcę być dobrym i skutecznym.

Sporo czasu mi zajmują
te treningi i turnieje
i zmęczenie powodują.
Te metody i nadzieje,
one serce me radują.

Warto przecież mieć marzenia
W tym rodzice mnie wspierają.
Wiem, wytrwałych los docenia
i otuchy mi dodają.

Czasem myślę, że ma praca
jest wysiłkiem ponad siły.
Ale ona się opłaca,
by marzenia się spełniły.

Wierzę, że któregoś lata
siła marzeń spowoduje,
że się stanę mistrzem świata
piłki, którą dziś drybluję...

„Czary”

Czary mary, czary, mary
W kącie stoi zegar stary
Wystukuje on miarowo
Wszystko, co odkryć można na nowo

Tam za oknem sypią płatki
Śnieżne, zimne, małe łatki
One sobie łoże ścielą
A tym samym świat nasz bielą

I zabawę wielką mają
Kiedy się tak przepychają
Aby dywan puchu stworzyć
Chcą do tkania się przyłożyć

Innym razem słońce wschodzi
Piękny promień niebem brodzi
Ciepłem swoim się przeciska
W chmurach mroku pętla niska

On pogodę nam zwiastuje
I już humor dopisuje
Ja mu uśmiech dorysuję
Bo mi bardzo to pasuje...

Kiedy kapie za oknami
Deszczu smuga za chmurami
Nagle dreszcze wywołuje
Humor już nie dopisuje...

Zatem myślę sobie wtedy
Dla tej chwili, dla potrzeby
Że się z wiadra woda leje
Świat psikusiem tak się śmieje

Same czary są na świecie
Ale o tym się dowiecie
Tylko wtedy moi mili
Kiedy w życia każdej chwili
Wyobraźni użyjecie
To jest takie proste przecież
Trzeba dzieckiem być przez lata
Stworzyć bajkę z tego świata!

„Artystyczne zabawy”

Dziś w artystę się pobawię
Czas swój spędzę na zabawie
I swój obraz namaluję
jak świat widzę, jak świat czuję

Wyobraźni farb użyję
Myśli swoje ja odkryję
W gamie barw świat widzę przecie
O czym zaraz się dowiecie

Świat to dla mnie barwne plamy
A jak my je rozkładamy
To zależy od nas samych
Czy to kropki, czy to cienie
Czy konturów objawienie
Może też przejawienie
Mogą być też światłocienie
Albo jakieś bohomazy
-wszystko to, co się przydarzy

Dom w pastele ja ubiorę
Bo jest taki w każdą porę
W tęczę mamy, w gamę taty
Wokół kolorowe kwiaty

Mały obrus jest na stole
Wokół wszyscy siedzą w kole
Są radośni, uśmiechnięci
Czuję, że tu coś się święci...

Dzisiaj dużo tu kolorów
Smaki tortu i humoru
Świeczek zapach i ogniki
No i w gwiazdki talerzyki

Wszystko bawi, wszystko
cieszy Nikt dziś nigdzie się nie
spieszy I lenistwa barwa tęga
się przeciąga jak ta wstęga...

*

Kiedy jednak smutny bywam Z
czarnych barw wychodzi krzywa
Linia, która szybko znika
Już z nią ostro – do
śmietnika! I, choć trudne to
zadanie
walczę z gniewem niesłychanie!

Czasem kiedy z nieba
kapie I na smutku się
przyłapię
Nie wiem sam, co mi dolega...
Wiem, że tęczy szukać
trzeba...

I, jak każdy ja artysta
- taki uczuć pejzażysta
Staram się w plam
codzienności Szukać weny dla
twórczości...

PROZA

2009-2011

I MIEJSCE

Natalia Maślej

godło: Azshara

.....

„Kwiaty tańczyły na wietrze”

Australia, głęboko w pustkowiach

Koła terkotały, przesuając się wolno po nierównej drodze. Słońce prażyło niemiłosiernie, jednak już zdążył się do tego przyzwyczaić. Choć jego czuły węch już wcześniej wyczuł jakąś osadę, to Don nie zboczył z wyznaczonego szlaku. Lepiej nie ryzykować spotkania z Fu-Chartami – aż tak szalony to on nie był. Musiał dotrzeć do wioski Sarbin przed zmrokiem, bo kiedy słońce znikало za horyzontem, zastępowały je światła Czerwonych. A te, w przeciwieństwie do słońca, zwiastowały jedynie śmierć. Don przyspieszył kroku. Miał głęboką nadzieję, że ostrzegawcze wycie sprzed godziny nie dotyczyło jego osoby. Co za czasy, pomyślał Don. Co za czasy... Za dużo niebezpieczeństw. O wiele za dużo. Trzeba myśleć o czymś innym, mawiają mieszkańcy pustkowi. Trzeba być zawsze dobrej myśli, zawsze odwracać uwagę swojego umysłu od rzeczy, które mogą cię skrzywdzić.

Dogcity, gdzieś w samym centrum miasta

Flesz tysięcy aparatów. Wrzask. Ktoś rzucił kwiaty. Ktoś rzucił przekleństwo. Różowa limuzyna, drzwi zamykają się automatycznie. Cisza.

- Pani Bello, jak poszła sesja?

Pog, zwany Poggym. Senior, labrador. Elegancja w każdym calu.

- Dobrze poszła. Bardzo dobrze, przyszło z jakieś cztery tysiące osób. Dobry wynik, widać tylko nabieram na popularności.

Młoda kobieta rasy york. Różowa sukienka, różowa kokarda na różowych włosach. Róż w każdym calu.

-Poggy, weź ty mi powiedz, czy mi się przypadkiem kokarda nie przekrzywiła. Gdzie jest lusterko... Lusterko, powiedziałam. Nie Poggy, nie to. Jakby to wyglądało, powiedz mi, fluo różowa sukienka i bladoróżowe lusterko? No jak? Dokładnie tak, jak wyglądasz w tej chwili ty. Żle. Zobacz, Poggy, jak wygląda twoja mucha. No właśnie. Dobra, Poggy, po prostu daj mi to lusterko koloru róż fluo.

Bella wzięła od labradora lusterko. Przeglądała się w nim chwilę, po czym otworzyła okno. Znów wrzask. Kolejne flesze. Wiatr wpadł do limuzyny, rozwiał włosy pięknej pani w sukience koloru różowego fluo. Cicha muzyka.

Pani w różowej fluo sukience odebrała telefon.

- Witam, tutaj Viva Bradlestone. Chciałam panią poinformować, że została pani zaproszona na audycję w programie DogsInTV. Gratulujemy!

Pani w różowej fluo sukience odłożyła telefon. Bardzo powoli.

- Panno Bello, czy coś się stało?

Bella wolno obróciła się w stronę Poga.

- Tak, stało się, Poggy... - powiedziała kobieta z euforią - Stało się!

Woemei, pałac dynastii Chow-chow

Jegomość w kolorowej szacie uklonił się nisko.

-Możesz odejść.

Na ogromnym, drewnianym tronie siedział futrzasty chow-chow. Kiedy drzwi zatrzasnęły się za jegomościem w kolorowej szacie, mężczyzna wywalił wielki, fioletowy jęzor i rozłożył się wygodnie na swoim wielkim tronie.

-Mesai.

Kobieta rasy shih-tzu w skromnej, kwiecistej sukience pospiesznie wbiegła do sali.

-Tak, Wasza Wielkość?

Chow-chow zamyślił się na chwilę, po czym powiedział znudzonym głosem: - Mesai, przynieś mi fusy.

Kobieta podała misę, wymruczała pod nosem tradycyjną formułkę i szybko się ulotniła. Władca trzymał przez moment misę w wielkich łapach. Wpatrywał się w fusy, jakby chciał przejrzeć ich zamiary. Po długiej chwili Huang lekko potrząsnął naczyniem. Fusy zawirowały w lekkim tańcu i po chwili zaczęły zwalniać. W końcu wszystkie ułożyły się we wzór, po czym wraz z wodą rozlały się na wypolerowanej posadzce, w której przez moment odbiła się przerażona twarz Najjaśniejszego.

Bleanhount, 79 Sunny Street

Szczupły jamnik o brązowym ubarwieniu ciężko opadł na fotel. Był wykończony. I zły. Zły na zbyt duże rachunki. Zły na ulubioną szynkę, która zawsze ma w zwyczaju znikać, gdy tylko zbliża się do sklepu. Zły na szefową, która wciąż upiera się, że Baldie jest zbyt leniwy. Nie, Baldie nie jest zbyt leniwy. Baldie jest zbyt zmęczony.

Podszedł do lodówki. Makaron, marchewka, trochę selera, odrobina sera i szynki, masło. I lody. O tak, lody to to, czego Baldie potrzebował. Czekoladowe. Nie, czekoladowo – śmietankowe.

Baldie przypomniał sobie, że kupił je dwa tygodnie temu, na czarną godzinę. Lody pozwoliły mu zapomnieć o problemach. Wtedy była tylko czekolada i śmietanka. Tylko. I nagle myśl, nieśmiało pukająca do drzwi czekoladowo-śmietankowej krainy umysłu Baldiego.

-Loteria, godzina 16:00, kanał 19!

Baldie odrzucił lody na bok, spojrział na zegarek. 16:03. Jamnik odszukał pilota w zakątkach kanapy i włączył kanał 19.

...ówną wygraną otrzymuje, uwaga... Baldie Hirth!

Pilot upadł na podłogę, jednak jego stuknięcie zagłuszył przeraźliwy i pełen radości krzyk.

Victoria, wieżowiec prezydenta

W ciepłe popołudnie 14 sierpnia 2067 roku prezydent odebrał telefon, który odmienił świat.

-Witam, czy dodzwoniłem się może do szanownego pana prezydenta Falt Kreadway?

Falt zmarszczył czoło. Co to, na karmę z wieprzowiną, ma znaczyć? Jego prywatny numer telefonu znają tylko i wyłącznie osoby, które puszystego huskiego o błękitnych oczach nazywają Falt albo przy bliższej znajomości, Faltie.

-Witam, tak, dodzwonił się pan do prezydenta, al...

Głos w słuchawce przerwał Faltowi gwałtownie.

-Przepraszam, ale to jest naprawdę pilne, naprawdę... Ekhm, bo, panie prezydencie, mam bardzo ważną informację do przekazania.

Falt wykorzystał chwilę wahania tajemniczego mężczyzny, by w miarę kulturalnie wtrącić się.

-Bez żadnego przepraszam. To ja tu zadaję pytania i przekazuję informacje. Najpierw proszę zrozumieć, że nie toleruję wpadania komuś w słowo. I nie toleruję również tajemniczych osób dzwoniących pod mój prywatny numer, który znają tylko moi przyjaciele oraz rodzina. Falt starał się mówić opanowanym głosem.

-Przepraszam, przepraszam, panie prezydencie. Nazywam się Iko Gerbet, numer telefonu dostałem od mojej przyjaciółki z MAK-u [Międzynarodowa Agencja Kosmiczna] Lily Nerus, która powiedziała, że w razie czego, to mam pod ten numer dzwonić, i powiedziała, że to jest numer do prezydenta, ale nic nawet nie pisała o tym, że to prywatny numer. Bo widzi pan, panie prezydencie, ja jestem profesorem nauk kosmologicznych i również pracuję w MAK-u. Przejdę do rzeczy – ku naszej kochanej planecie zmierza właśnie ogromny meteor, który nazwałem Apo, od apokalipse [apokalipsa]. Wcześniej myśleliśmy, że jeżeli już, to Apo otrze się o Ziemię za jakiś rok, a właśnie dziś okazało się, że byliśmy w błędzie. Bo meteor nie otrze się, ale uderzy w sam środek Ziemi. I nie za rok, ale za dwa miesiące.

-Panie Iko, dziękuję panu za tą informację. Jak moi pracownicy potwierdzą jej prawdziwość, wdrożę plan działania, który wydaje się być najbardziej racjonalny. Falt już chciał się rozłączyć, kiedy Iko nagle wykrzyknął do słuchawki: - Panie prezydencie, panie prezydencie! Może mi pan zdradzić, cóż to jest za plan?

Husky myślał chwilę, po czym rzekł:

-Panie Iko, to są bardzo poufne informacje. Nie jest pan jeszcze moim zaufanym

znajomym i boję się wycieku informacji, dlatego niestety muszę zachować w tej sprawie milczenie. Proszę też nie rozpowiadać o Apo nikomu innemu.

-Tak, oczywiście. Rozumiem pana obawy. Tak więc, do widzenia.
Falt odłożył słuchawkę. Siedział tak przez chwilę, myśląc o tak wielu rzeczach. A w pierwszej kolejności o planie, który teraz musiał wymyśleć.

Sarbin, rynek

Ktoś włączył radio na cały regulator, skupiając tym sposobem uwagę wszystkich w pobliżu. Don, tak samo jak kilkadziesiąt innych osób, podszedł do urządzenia. W takich wioskach jak Sarbin zawsze był ktoś, kto był szczęśliwym posiadaczem radia i kiedy leciały w nim jakieś ważne informacje, przynosił je na rynek, by wszyscy mogli usłyszeć, co się w świecie dzieje. W tej wiosce był to młody, bogato (jak na mieszkańca jednej z wiosek pustkowie) ubrany wyżeł, który mógł chwalić się radiem nie najnowszej, ale też nie najstarszej generacji. Wzbudzało to we wszystkich respekt i podziw.

- Mam państwu do przekazania ważne i przerażające informacje. Ku Ziemi zbliża się meteor Apo, który z całkowitą pewnością doszczętnie zniszczy naszą planetę. Wszystkie kraje świata połączyły się i zbudowały wielkie promy, które przewiozą część ludzkości na Marsa, gdzie wszystko jest już gotowe na przyjęcie nowych mieszkańców. Niestety, nie wszyscy będą mieli szczęście. Jednak każdy będzie miał szansę dostać się na prom. Władze zdecydowały, że wybranie tych szczęśliwych osób odbędzie się drogą losowania. Nikt nie będzie miał większych lub mniejszych szans. Jednak, jeśli ktoś chce taką szansę dostać, musi zarejestrować się w najbliższym budynku urzędowym, banku lub poczcie. Tam zostaną państwo wpisani do systemu i zostanie dla państwa wylosowany numer. Za dwa tygodnie odbędzie się największe losowanie w historii...

Don opadł ciężko na ziemię. Jaka jest szansa, że zostanie wylosowany? Gość z radia mówił, że szanse są wyrównane, ale... Jakoś ciężko uwierzyć w to, że akurat on, mały chihuahua, ubogi handlarz pustkowi, trafi na prom.

Ktoś przebiegł obok niego, ktoś krzyknął. ktoś zapłakał. Powstał niesamowity zamęt, każdy kierował się do maleńkiej poczty Sarbin.

Dogcity, luksusowe apartamenty w centrum

- Poggy! Poggyyyy! Szybko, chodź tu natychmiast!
Labrador przybiegł pospiesznie. Oddychając ciężko, stanął przy Belli.

- Patrz, Poggy, meteor się zbliża!! Do Ziemi zbliża się meteor!! - Kobieta wymachiwała rękami na wszystkie strony, krzycząc przy tym i patrząc na służącego przerażonym wzrokiem.

- Ziemia zostanie zniszczona!!!

- Ależ pani Bello, przecież to jest jasne, że to właśnie pani będzie jedną z tych osób, które odlecą na Marsa. Ma przecież pani takie wpływy, że to jest niemożliwe, żeby pani nie załatwiła sobie biletu na prom.

Bella uspokoiła się nieco. Poprawiła pastelowo różową kokardę i westchnęła ciężko.

- Poggy, przygotuj mi kąpiel. Ma być pełna wanna wody, płatki róż, drobinki złota, różowe kule musujące koniecznie koloru pastelowo różowego, powtarzam, pastelowo - Bella spojrzała groźnie, a to spojrzenie dokładnie opisywało wszystko, co robi, jeśli kule musujące będą koloru innego niż pastelowo różowy - I o zapachu truskawkowym.

Labrador skinął energicznie głową. Wiedział dobrze co się stanie, jeśli róż będzie w jakimkolwiek innym odcieniu niż pastelowy.

Woemei, prywatne apartamenty Jego Wysokości Wodza Huanga

Kwiaty zatańczyły lekko na ciepłym wietrze. Ptak zaśpiewał. Spokój. Huang też czuł spokój. Niezmacony, wielki spokój, wypełniający całe jego ciało. Tego potrzebował. Ciche pukanie. Spokój zakłócony.

- Wasza Wysokość?

- Wejdz.

Mesai cichutko wsunęła się na niewielki balkon. Huang siedział na aksamitnych poduszkach, a jego futro rozwiewał ciepły wiatr.

- Tak, Mesai?

- Wasza Wysokość, w telewizji lecą niezwykle ważne informacje. Chciałby pan może je usłyszeć?

Huang westchnął. Spokój i tak był już kompletnie zburzony.

- Tak, Mesai. Ale czy mogłabyś mi je przekazać tutaj?

- Oczywiście, Wasza Wysokość.

Huang otwierał oczy szerzej i szerzej z każdym słowem dziewczyny. Kiedy Mesai skończyła, zapadła głucha cisza.

- Wasza Wysokość?

- Tak, Mesai. Słyszę. Widzę.

Huang myślał. Bardzo intensywnie i bardzo długo. Mesai czekała cierpliwie.

- Mesai, to koniec świata, to armagedon, jak w mojej wróżbie. Po meteorze nie zostanie już nic. Ale skoro tak się dzieje, tak chcą bogowie. My nie możemy sprzeciwiać się ich woli – jeśli w niebiosach zapadła decyzja o unicestwieniu ludzkości, tak się stanie. Ludzie, którzy uciekną na obcą planetę też mogą nie przetrwać. Taka jest wola bogów, więc tak się stanie. Lecz nie będę narzucać ci swojej woli. Mesai, jeśli chcesz spróbować dostać się na prom, udzielam ci pozwolenia, jednak ja zostaję. Jaka jest twoja decyzja?

Dziewczyna milczała. Milczała tym rodzajem milczenia, które jest lepkie, niczym smoła. W końcu Mesai je przerwała.

- Wasza Wysokość, ja zostaję tutaj, na Ziemi. Uważam tak samo jak Wasza Wysokość, jeśli taka wola bogów, tak się stanie.

- Dobrze, Mesai. Możesz odejść.

Kwiaty znów zatańczyły. Huang zamknął oczy. Ostatnią jego myślą przed odpłynięciem w krainę snu owiewanego ciepłym wiatrem była myśl złota, powtarzana przez wiele lat. Jeśli taka wola bogów, tak się stanie.

Bleanhount, 79 Sunny Street

Enter. Baldie potarł czoło, westchnął głośno. I promiennie się uśmiechnął. Jak dobrze czuł się na sercu! Miał wrażenie, że teraz jest mu tak lekko, że może wznieść się do gwiazd. Wygrał sumę 600 tysięcy dolarów. Połowę przekazał na instytucję charytatywną. Jamnik westchnął jeszcze głośniejsze, jednak nie ze smutkiem. To westchnienie mówiło wszystkim wkoło coś w stylu – teraz pójdę na kanapę, położę się, wypiję wino, a potem zasnę błogim snem. Wziął jeszcze lody. Ostatnio, kiedy jadł ten przysmak czekoladowo-śmietankowy, w jego życiu nastąpił pozytywny przełom. Niestety, tym razem czekoladowo-śmietankowych nie było, więc wziął czekoladowo-truskawkowe. Przecież lody to lody, jak przynoszą szczęście, to wszystkie, bez różnicy. Baldie położył się na nowiusieńkiej, białej kanapie i włączył nowiusieńki, czarny telewizor. Akurat leciały wiadomości. Kiedy pani bez rasy skończyła mówić, jamnik wymownie spojrzał na łyżkę z lodami truskawkowymi.

Australia, wioska Sarbin

Don miał najlepsze miejsce przy radiu. Był tak blisko, że reklamy jakichś kompletnie niepotrzebnych przedmiotów huczały mu radosnym głosem prosto do małego ucha. Wokół radia zebrali się wszyscy mieszkańcy wioski. Nagle poważny, niski głos oznajmił, że koniec reklam i czas na wiadomości. Wszyscy starali się być jak najciszej i jak najbliżej. Rozpoczęło się podawanie numerów. Don ścisnął swój małeńki papierek z numerem. Choć wydawało mu się, że nie łudzi się na usłyszenie swojego numeru, to jednak miał nadzieję.

- 234, 78 956 345, 912 781, 2 543 879.

Don otworzył szeroko oczy. Oddychał ciężko, wciąż słysząc w uszach głos pani z wiadomości: numer 2 543 879.

Dogsity, luksusowe apartamenty w centrum

-Poggy, to jest skandal! Ja, Bella Heck, jedna z najpopularniejszych osób na świecie, mam mieć taką samą szansę na dostanie się na prom jak jakiś żebrak z ulicy?! To jest oburzające!

Poggy milczał. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Poggy, weź ty oglądnij te wiadomości, ja nie mam tyle czasu. Jak będzie mój numer, to mnie zawołaj.

Kobieta udała się do swojej sypialni, zapewne poprawić makijaż albo paznokcie. Poggy usiadł na fotelu ustawionym specjalnie dla niego. Numery leciały i leciały, a stary labrador miał coraz gorsze przeczucia. Wiedział dobrze, że Bella jest zbyt pewna siebie. To źle. Teraz pozycja, majątek czy cokolwiek innego nie miało znaczenia. Poggy nie wierzył w nic, ale pomyślał, że to kara za pychę. Minęła godzina. Potem dwie. Trzy. Cztery. Pięć. Cierpliwie siedział na krześle, jednak nie liczył na swój lub Belli numer. Był mądrym, doświadczonym przez życie labradorem. Widział i przeżył wiele, a Belli służył już dziesięć lat. Jemu było obojętne, czy dostanie się na prom. A Bella... Może i to nawet dobrze, jeśli jej numeru nie będzie? Poggy zamyslił się, kiedy nagle usłyszał. Swój numer. Przez moment był oszołomiony, jakim cudem to się stało. Potem westchnął. Numery przestały lecieć. Wyłączył telewizor. I zamknął oczy. Pokuta.

Redust, obrzeża miasta

Autokar terkotał głośno. Wkoło tylko piasek i słońce. Piasek. Słońce.

Domy. - Domy widzę... Czy to już Redust?

Ktoś zapytał. Ktoś potwierdził.

Piasek. Słońce. Domy. Wielkie coś, co wygląda jak UFO.

- Co to za wielkie coś, co wygląda jak UFO? Czy to nasz prom?

Ktoś zapytał. Ktoś potwierdził.

Tysiące ludzi krzyczało, wrzeszczało, płakało, przeklinało i panikowało. Tysiące ludzi próbowało przedostać się na prom. W szaleńczych aktach desperacji niektórzy skakali. I umierali. Don odwrócił wzrok. Ktoś krzyknął, jednak głośniejszy niż inni. Rozległ się strzał posłany w powietrze. Tłum ucichł, jednak nie na długo. Gdy z głośników dobiegł głos oznajmiający, że prom odlatuje za pięć minut, zapanował chaos. Don wciąż nie mógł uwierzyć.

Dogsity, stacja MAK-u

Poggy wysiadł z taksówki. Wkoło były tysiące ludzi. Wkoło był strach i radość, panika i spokój. Każdy czuł co innego, bo każdy przyszedł tu w innym celu. Jedni żegnali się z rodzinami, inni radosnym krokiem wchodzili na pokład. Niektórzy próbowali przekonać strażników do wejścia na prom marnymi wymówkami, że ich numer został podany. Labrador wyjął swój skromny bagaż – każdy mógł zabrać najpotrzebniejsze rzeczy. Poggy zabrał wszystkie, bo zmieściły się w jednej walizce. Zabrał też wyrzuty sumienia. Były cięższe niż myślał. Ciekawe, czy biorą pod uwagę taki ciężar. Przecież to

też jest bagaż podręczny i też może być bardzo ciężki. A wyrzuty uczepliły się sumienia podstarzałego labradora i trzymały się tam uporczywie. I były o wiele cięższe niż jego bagaż. Swoją numer miał zapisany na kartce. Ścisnął ją mocno, chociaż z drugiej strony miał nadzieję, że prom odleci bez niego. Poggy pomyślał, że istota psia jest doprawdy skomplikowana.

Gdzieś daleko w gwiazdach

Baldie miał zawroty głowy. Jednak wraz z innymi poszedł, a raczej poleciał, oglądać koniec Ziemi. Świetlistą smugę Apo było widać już z daleka. Ziemia była maleńka, a meteor jeszcze mniejszy. Pomimo tego widać było to dokładnie. Widać było dokładnie ten dystans pomiędzy Apo a Ziemią zmniejszający się z każdą chwilą.

Kiedy na promie rozległ się alarm, Baldie zamarł z łyżką pełną lodów truskawkowych w ręce.

Woemei, ogrody pałacu dynastii Chow-chow

Apo zbliżał się. Mesai załkała. Huang zamknął oczy. Kwiaty tańczyły na wietrze.

II MIEJSCE

Kinga Świtoń

godło: WRAŻLIWIEC

„Okno”

Dwa słowa wystarczą, aby spojrzeć w głąb pamięci, by ujrzyć przeszłość. Dwa słowa mogą odmienić życie. Lecz czy taka ilość wyrazów wiele wyjaśni? Czy nie trzeba ich więcej?

Biedna siedziała pod drzewem, liście osłaniały jej twarz od słońca. Pograżona w melancholii dorosła kobieta nad czymś rozmyślała.

Nagle wstała w popłochu, cisza i spokój zostały przerwane. Pobiegła w nieznanym kierunku. Nawet pogoda zdawała się posmutnieć i chmury zasłoniły słońce. W nieprzyjemnej atmosferze kierowała się w dal. Parzyła na mały oddalony punkcik. Czy tam zamierzała się udać? Jeśli tak, to po co?

Dotarła do wyznaczonego celu. Widniała tam stacja kolejowa. Kobieta delikatnie osunęła się na ławkę. Oczy same się jej się zamykały, ale co chwilę nerwowo zerkła na godzinę. Dlaczego tak zależało jej na czasie? Dojechał pociąg, tłum ludzi wysypał się na przystanek. Tajemnicza Pani wertowała oczami po tłumie. Czy kogoś szukała? Podeszła do niej inna Kobieta i zaczęła mówić:

- Sabrino, twój mąż nie żyje od 15 lat, Pamiętasz?

Okrutne słowa wyciekły z jej delikatnych i wiśniowych ust.

- To nieprawda, Beato! - wykrzyknęła w złości kobieta.

Ciężkie było przemówienie do rozsądku przyjaciółce, gdy chorowała na amnezję. Wnet coś zobaczyła.

- Widzisz to? - zapytała Sabrina.

Zanim kobieta zdążyła odpowiedzieć, jej przyjaciółka już wbiegła do pociągu. Drzwi za nią się zamknęły i odjechała w nieznaną.

Wsiadła do jakiegoś przedziału i nie dowierzała własnym oczom, ponieważ ujrzała tam.... Męża. Był to JEJ mąż. Identyczny jak na starych, rodzinnych zdjęciach. Kobieta musnęła go po policzku, lecz ten rozplynął się. Czy to było złudzenie? A wyglądał tak prawdziwie... Sabrina zamknęła oczy i poczuła czyjś oddech na swojej skórze. Jej powieki unosiły się ku górze. Spojrzała przed siebie, a tam ponownie pojawił się jej wybranek. On spokojnym krokiem wyszedł z przedziału.

- Eryk- zawołała kobieta i pobiegła za ukochanym.

Pociąg zatrzymał się na stacji i tam właśnie wysiadł mąż Sabriny, ona zrobiła to samo. Biegła za nim przez długi czas, zastanawiając się, czy to dzieje się naprawdę. Dobiegli do jeziora. Tam świętowali swoją rocznicę. Kobiecie łzy napłynęły do oczu. Jej wybranek spojrzał na nią anielskim spojrzeniem. Nie bała się go. Delikatnie i powoli

otworzył usta i w końcu powiedział: „SpringWaltz”.

„To nasza piosenka” odparła kobieta. To był tytuł utworu, do którego tańczyli na swoim weselu. Kobieta wszystko sobie przypominała. To było cudowne uczucie. Muzyka rozkosznie płynęła. A małżonkowie snuli się po zielonej trawie, która przyjemnie muskała ich w łydki.

Dwa słowa mogą odmienić życie.

„Roxy, pies-wilk”

Roxy spojrzała niepewnie na właściciela. Tak jak codziennie pan Marek przypinał jej do obroży smycz i ruszali do ich ukochanego miejsca w lesie. Tym razem miało być tak samo, jednak mężczyzna w pewnym momencie zatrzymał się i przywiązał smycz do drzewa. Roxy, młoda suczka owczarka australijskiego siedziała grzecznie, ale wydawało jej się, że dzieje się coś złego. Właściciel upewniwszy się, że dobrze ją przywiązał, zaczął się oddalać. Roxy siedziała jeszcze chwilę, po czym ruszyła za nim, ale smycz sprawiła, że udało jej się zrobić zaledwie dwa kroki do przodu. Suczka nie wiedząc co robić, zaczęła piszczeć głośno, ale pan Marek zniknął za starą sosną. Roxy piszczała coraz głośniej, po czym zaczęła szczekać. Echo słychać było po całym lesie, jednak nikt jej nie zauważył.

Niebo robiło się coraz ciemniejsze i zaczął wiać chłodny wiatr. Roxy rwała się i szczekała bez przerwy. W końcu na niebie pojawił się księżyc i setki gwiazd, które już po chwili zostały zakryte przez ogromne, gęste chmury. Suczka zaczęła trząść się z zimna i położyła się smutna na ziemi, skuliła ogon i przymknęła oczy. Na jej nos spadło po chwili jakieś mokre, małe coś. Otworzyła powoli oczy i zauważyła, że zaczyna padać deszcz.

Mijały godziny. Roxy była głodna, mokra i zmarznięta. Wprawdzie deszcz w końcu przestał padać, ale dalej było mokro, zimno i wiał wiatr. Suczka skuliła się w kłębek zrezygnowana. lecz nagle gwałtownie się wyprostowała. Uszy stanęły jej dęba, a oczy otwarły się niesamowicie szeroko. Usłyszała wycie wilków. Najpierw było ciche, jednak z każdą minutą stawało się coraz głośniejsze. Roxy była naprawdę przerażona.

– No proszę, proszę. Ktoś uważa się za wielkiego!- usłyszała chytry głos.

– Kto tu jest? - Roxy rozejrzała się naokoło.

– Kto tu jest? - zaśmiał się głos - A ty? Kim jesteś?

– Roxy. Przynajmniej tak mówił na mnie właściciel - odparła niepewnie suczka. Z krzaków wyłoniła się nagle jakaś sylwetka. Przypominała psa, ale była o wiele potężniejsza. Roxy dostrzegła lśniącego ślepią, ogromną szczękę i silne łapy. Była to wilczyca. Jej szarobrązowa sierść zafalowała na wietrze. Podeszła bliżej, zmarszczyła brwi i warknęła

– Jaki znowu właściciel? O czym mówisz? I czemu jesteś - spojrzała na czerwoną smycz przywiązaną?

– Gdybym tylko wiedziała...- mruknęła Roxy.

– Aha - wilczyca podeszła bliżej, a Roxy zaczęła się cofać, aż wtuliła się w drzewo.
- Jaka ty jesteś odważna! - zaśmiała się wadera - Serio myślisz, że ci to tu pomoże?-
odparła wilczyca i podeszła jeszcze bliżej - Tylko się nie ruszaj.

Roxy spojrzała na nią przestraszona, po czym zamknęła oczy, czując, że coś nią szarpie. Otworzyła je po chwili i zauważyła, że wadera próbuje przegryźć jej obrożę. Trwało to chwilę, ale się udało. Spojrzała zdumiona na wybawicielkę, która rzekła dumnie:

– Nie ma za co!

Zszokowana Roxy dopiero po chwili usłyszała, jak wilczyca kontynuuje:

– Więc ty wracasz do siebie, ja do siebie i będzie super

– Dzięki – rzuciła Roxy i zaczęła węszyć, próbując wyczuć właściciela.

– Ej, a właściwie jak się tu dostałaś? - zapytała po chwili.

– Wiesz, mój pan mnie tu przywiązał - odparła Roxy.

– No nie gadaj!- zaśmiała się wilczyca- Serio masz pana, który decyduje, co masz zrobić i może robić z tobą, co chce?

– Wiesz, to mój właściciel! Ja go kocham, a on mnie!- powiedziała, nie przestając węszyć. – Kocha cię, a zostawia cię w lesie!?- spytała wadera.

W tym momencie Roxy podniosła głowę i spojrzała na nią dziwnie.

– My, wilki, robimy, co nam się podoba! Jesteśmy wolne! Musiałabyś być wilkiem, żeby się o tym przekonać - odparła.

– To może mi to pokaż?

– Ja? Pokazać ci? Właściwie to nie wiem, jak to zrobić!- i spojrzała na Roxy-

Chociaż może da się coś wymyślić! Chodź!

Roxy ruszyła posłusznie za wilczycą. Dotarły na małą leśną polankę. Wadera wzięła głęboki wdech, po czym ruszyła czym prędzej przed siebie. Roxy pobiegła ile tchu za nią. Wbiegła do płytkiego strumienia i w niebo wzbiło się mnóstwo świetlików. Wadera zaczęła skakać i tańczyć w wodzie, śmiejąc się radośnie. Roxy spróbowała ostrożnie tego samego i zauważyła, że to fajne. Na jej pyszczku pojawił się uśmiech i zaczęła skakać radośnie z...

– Właściwie, to jak masz na imię? - spytała Roxy.

– Mam na imię Diuna.

Roxy uśmiechnęła się, a Diuna dodała:

– Chodź! Coś ci pokażę!- i pobiegła dalej.

Roxy chciała krzyknąć: „Zaczekaj!”, ale nawet na to nie starczyło jej czasu. Popędziła za Diuną. Po drodze Diuna robiła najróżniejsze fikołki i ślizgi. Śmiała się przy tym jak gdyby robiła to pierwszy raz. Roxy również śmiała się i biegała na wszystkie strony świata. Nie wiedziała, co ją tak bawi. Była w obcym lesie, przy strasznym zwierzęciu z dala od właściciela, a jednak czuła się wspaniale. Nagle Diuna się zatrzymała. Obie stanęły na wysokiej górze i zauważyły stado wilków. Roxy momentalnie położyła uszy po sobie i schowała pod siebie ogon. Wilki zawarczały

cicho, a Diuna powiedziała tylko:

– Spokojnie! To tylko Roxy. Moja nowa koleżanka!

Wilki nieco złagodniały, przestały warczeć i teraz patrzyły na suczkę ze zdziwieniem.

– No, chodź! Przywitasz się z bliska!- zachęciła Diuna i zeszła po skałach na dół. Roxy, wcale nie była pewna czy powinna tam zejść. Jednak Diuna przedstawiła jej wszystkich po kolei, wyjawiając również ich pozycję w stadzie.

– Nauczmy cię życia w lesie!- oznajmiła uroczyście Diuna. - Jeżeli się zgodzisz, oczywiście. – Sama nie wiem, nie jestem wilkiem. Nie wiem, jak to jest być jednym z was - odparła Roxy. Tęskniła za właścicielem, mimo że zostawił ją w lesie. Chciała do niego wrócić i żyć tak jak dawniej. Jednak Diuna zdawała się być miła, a kiedy z nią biegła, czuła się jak nigdy dotąd. Była szczęśliwa i wolna...

– No, to może zostań u nas na razie, a rano się zdecydujesz? Chociaż to dziwne, że będziesz spać w nocy, a nie ranem!- zaproponowała Diuna.

– Dobrze- zgodziła się Roxy i poszła spać.

Roxy obudziła się, kiedy było już prawie południe. Większość wilków leżało na ziemi lub chodziło sobie wte i wewte. Suczka przyzwyczajona była bardziej do dziennego trybu życia, ale nie przeszkadzało jej to na razie.

– Witaj - pojawiła się Diuna. - To jak? Gotowa?

– Na co? - zdziwiła się Roxy.

– Idź za mną, a się przekonasz!- powiedziała i ruszyła gdzieś nieco dalej. Obie doszły na tę samą polankę co wczoraj.

– Będiesz uczyć się polować!- powiedziała Diuna.

– Że co, proszę? - Roxy spojrzała na nią zdeorientowana - Rano miałam podjąć decyzję, a nie polować!

– Skup się! - odparła wadera.- Widzisz te sarny, tam w oddali? - zapytała, wskazując ruchem głowy - Wilki polują stadnie, ale ja zapoluję teraz sama, by pokazać ci, jak to się robi! – I wszyscy to zjedzą?

– Nie, nie zabiję go. Pokażę ci, jak to się robi i dam mu uciec! Tylko patrz uważnie! Nie będę powtarzać! - rozkazała.

Roxy skupiona obserwowała, jak Diuna bardzo długo goniła ofiarę, która zwalniała z każdą minutą. – Ruszamy! - zawyla Diuna.

Wilcze stado ruszyło w stronę ofiary. Roxy starała się dogonić Diunę, co jednak było trudne. – Będiesz polować ze stadem! Nie zawieź nas! - powiedziała.

– Postaram się - odparła Roxy. Nie mogła obiecać, że jej dobrze pójdzie.

Podczas polowania szło jej gorzej niż przeciętnie. Co chwilę widziała tylko obrażone spojrzenie Diuny. Bieganie za ofiarą, dopóki się nie zmęczy, było wyczerpujące i w końcu suczka padła jak długa na ziemię.

– Poddaję się! Słyszycie?! - krzyknęła i wystawiła język, by się ochłodzić. Roxy leżała przez jakiś czas na ziemi i dopiero po chwili ruszyła poszukać stada. Szła jakiś czas, aż zastała uczujące wilki. Diuna, z czerwonym od krwi pyskiem, podeszła do suczki.

– Gdzieś ty była?- zapytała zdziwiona, jednak za nim cokolwiek dodała, Diuna zmieniła temat: – Poszło ci bardzo źle. Mam na dzieję, że następnym razem pójdziesz ci lepiej, OK?

– OK! Będę ćwiczyć, ćwiczyć! - obiecała Roxy.

– Super - uśmiechnęła się Diuna. - Jeszcze trzeba nauczyć się zwinności, wytrzymałości (to słowo szczególnie podkreśliła), siły i ataku!- powiedziała.

– Dobrze! Zacznijmy teraz! - powiedziała śmiało Roxy.

– I to mi się podoba! - zawołała radośnie wilczyca.

Niemal od razu ruszyły w większe góry. Diuna biegła najróżniejszymi trasami, wbiegając do tuneli i rzek. Roxy podążała cały czas za nią. Kiedy Diuna mówiła, jak polować, suczka uważnie słuchała, więc na wspólnych polowaniach szło jej coraz lepiej. Pomału stawała się coraz silniejsza i pewniejsza siebie. Nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje.

W końcu z pozycji „omega - do niczego” stała się betą, zastępczynią alfy. Była lepsza i silniejsza niż niektóre wilki ze stada, a podczas polowania szło jej o wiele lepiej niż na początku. Stała się prawdziwą członkinią stada Diuny, która wydawała się z niej dumna. Roxy w ogóle nie rozmyślała już o panu Marku, który zostawił ją w lesie. Stała się wolna. Razem z Diuną odwiedzały wszystkie możliwe miejsca. A najbardziej lubiły wchodzić na większe skały, by obejrzeć piękne krajobrazy lasu.

– I co? Cieszysz się, że cię tam wtedy znalazłam?- spytała pewnego razu Diuna, gdy siedziały na wielkiej skale.

– Bardzo – powiedziała Roxy, jednak ta rozmowa sprawiła, że gdzieś daleko w jej dzikim sercu pojawiła się tęsknota za bliskością z ludźmi. Brakowało jej spacerów z właścicielem, zabaw swoimi ulubionymi zabawkami (najczęściej był to gumowy kurczak albo tylko już jego połówka) i pyszne jedzonko z miski, na które wcale nie trzeba było polować - wystarczyło poczekać.

– Super! W takim razie wracajmy do stada! Pewnie już na nas czeka!- powiedziała Diuna. Roxy siedziała jeszcze chwilę na skale, zamyślona. Tęskniła za tym wszystkim i na chwilę znalazła się w ciepłym salonie dawnego właściciela. Zjadała pyszne psie chrupki i czuła ciepło z kominka. Jednak zaraz po chwili znów siedziała na skale, jako członkini stada wilków z Wielkiego Lasu. Ta myśl, która przed chwilą nią zafascynowała, zgasła teraz i Roxy wzięła głęboki wdech.

Nadeszła zima. Zaczął padać śnieg. Zrobiło się o wiele zimniej niż wcześniej.

Wilcze stado wędrowało przez wielkie śnieżne zasy w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Wszyscy weszli i wsadzali nosy, gdzie popadnie. W pewnym momencie Diuna podniosła uszy do góry i dziwnie zmrużyła oczy.

– Wracamy! - zażądała.

– Co się stało, Diuna? - zapytała Roxy, ale przywódczyni nic nie odpowiedziała. Stado oddaliło się, ale suczkę niezwykle kusiło sprawdzenie, co spowodowało decyzję Diuny. Potajemnie ruszyła w przeciwną stronę i rozejrzała się dookoła. Niczego ciekawego nie znalazła. Zaczęła węszyć i rozpoznała dziwnie znajomy zapach. Ruszyła więc w jego kierunku. Szła chwilę jeszcze w tamtą stronę i nagle coś przygniotło ją do ziemi.

– Cemu tu przyszłaś, mówiłam, że zawracamy! - warknęła Diuna.

– Wybacz, Diuna. Strasznie chciałam sprawdzić, co to jest!

– Dobra, nie szkodzi - Diuna zeszła na ziemię.- Wracajmy!

– A powiesz mi, co wywęszyłaś?

– Lepiej nie, bo chyba byś się obraziła.

Roxy ruszyła w stronę Diuny. Obie nie zdawały sobie sprawy z tego, co się właśnie stało. W miejscu, gdzie rozmawiały wcześniej, był człowiek, którego wyczuła Diuna i zostawił kamerę, która nagrała spotkanie wilczycy i suczki. Ludzie, którzy zobaczyli film w Internecie, zaczęli zapuszczać się do tego lasu i roztawiać fotopułapki. Następny film z Roxy został nagrany w marcu. Ludzie nie potrafili uwierzyć, że Roxy polowała razem ze stadem Diuny! Od tej pory starali się uchwycić psa-wilka. Przez długi czas im się nie udawało, aż w końcu coraz mniej o tym mówiono. Znowu do pewnego momentu. W maju wszystko się powtórzyło i znów ją nagrano. Historie o Roxy dotarły niemal wszędzie. Znalazł się człowiek, który postanowił, że złapie tego niezwykłego psa-wilka, uśpi i zabierze do weterynarza a potem odwiezie do schroniska.

Jak powiedział, tak zrobił. Kilka specjalnie wyposażonych do tego osób ruszyło do lasu, w którym kamera „złapała” Roxy i ruszyli na jej poszukiwania. Akurat spacerowały wzdłuż rzeki. Były bardzo zajęte rozmową.

– Nadal nie mogę w to uwierzyć! - uśmiechnęła się Diuna. - Pan trzymał cię za pomocą sznurka? – Tak, ma nawet fachową nazwę: „smycz”- zachichotała Roxy.

– A co jeszcze robił?

– Miałam swoją budę w ogrodzie.

– Co to ogród i buda?

– Trochę by tłumaczyć - zaśmiała się Roxy i w tym momencie usłyszała dziwny dźwięk. Ludzki dźwięk. Zaczęły węszyć. Czuły wyraźnie zapach człowieka.

– Szybko, idźmy stąd!- zawołała Diuna i w tym momencie padł strzał.

Diuna, spojrzała na Roxy, która padła na ziemię i zaczęła ciężko dyszeć.

– Roxy! - zawołała przerażona.

– Szybko! Biegnij do stada!

– Nie! Nie zostawię cię! - odparła Diuna- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Roxy! Jednak usłyszała kolejny strzał i, chociaż niechętnie, pobiegła do stada. Roxy starała się wstać, ale środek usypiający już zaczął działać!

Wszystko działo się tak szybko, że Roxy nie zauważyła nawet, kiedy znalazła się w jakiejś klatce. Otworzyła oczy jak gdyby nigdy nic i zamiast w lesie, zobaczyła się w tym miejscu. Na zewnątrz stali lekarze, a dokładniej dwie lekarki i jeden lekarz, sprawdzający coś w papierach. – Teraz niech chwilę odpocznie - powiedziała jedna z lekarek.

– Chyba będziemy musiały zawieźć ją później do schroniska - dodała druga lekarka, poprawiając swoje okulary.

Lekarz kiwał tylko głową, by pokazać, że się zgadza. Po chwili cała trójka poszła gdzieś korytarzem. W tym samym czasie Roxy zdążyła dojść nieco do siebie i choć trochę ochłonąć. Gdzie ona się znajdowała? Zaczęła głośno szczeekać i pisać w niebogłosy. Kiedy się rozejrzała, jeszcze bardziej się przestraszyła. Wcale nie była tam sama! Obok stały inne klatki ze zwierzętami. Była wśród nich klatka z czarną, małą suczką z klapniętym jednym uchem, smutno obserwującą świat za kratami.

– Hej! - zaczęła rozmowę Roxy.

– Hm? - suczka spojrzała na nią - O! Cześć!

– Gdzie ja jestem? Gdzie MY jesteśmy?

– W schronisku - odparła suczka bez entuzjizmu.

– W czym? Nie pamiętam, żeby coś takiego było.

– To miejsce, w którym mieszkają bezdomne psy i czekają na właściciela. Dlatego gdy przychodzi tu nowa osoba, wszyscy się cieszą, bo wiedzą, że mają szansę wyjść z klatki.

– Czyli jak ktoś wejdzie, to... mam się cieszyć i mnie wypuszczać?- spytała z nadzieją Roxy. – Nie! Oni wybierają, kogo biorą - odparła suczka.

– Aha! Dziwne trochę. Jestem Roxy, a ty?

– Libra.

– Powiedz, Libra, ile czasu będę tu siedzieć?

– Kto wie? Możesz wyjść już jutro a możesz już nie wyjść stąd wcale! - odparła Libra, po czym ułożyła się w kłębek i zasnęła.

Smutna Roxy, położyła głowę na łapach i zaskomlała cicho. Wcale nie chciała, żeby to wszystko tak się potoczyło. Co miała robić?

Minęło kilka tygodni i Roxy myślała, że musi pogodzić się z tym, że nikt jej nie chce. Wiele osób się nią interesowało, ale ostatecznie zmieniał zdanie, kiedy szło

z nią za spacer próbny czy chciało pogłaskać. Rwała się, gryzła i czasami nawet nie dawała do siebie podejść.

Myśli cały czas jej się mieszały. Czasem tęskniła za właścicielem, a czasem za stadem. Może dlatego, że przyzwyczaiła się żyć jak wilk, którym pewnie w pewnym trochę nawet była. Poza tym często przypominała sobie, jak właściciel zostawił ją w lesie i zastanawiała się, czemu to zrobił... Libra zauważyła jej przygnębienie.

- Wszystko w porządku? - zapytała - wyglądasz na zdruzgotaną. Właściwie to zauważyłam, że wcale nie cieszysz się na widok ludzi, a na spacerach dziwnie się wyrывasz. - Może mi nie uwierzysz, ale... ja jestem członkinią watahy wilków - Roxy zdecydowała się na zwierzenia.

Libra otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Wkręcasz mnie? Jakim cudem jesteś...wilkiem?

- Nie, jestem psem, ale...

- Teraz rozumiem! - olśniło Librę - Jesteś pół wilkiem, pół psem!

Roxy spojrzała na nią zdziwiona i westchnęła

- Zawsze byłam blisko związana ze swoim właścicielem. Dopóki nie zostawił mnie samej w lesie. Wtedy znalazła mnie wadera Diuna. Przyjęła mnie do stada. Proszę, nie mów nikomu. - Tak właśnie mi się zdawało, że jesteś o wiele potężniejsza i silniejsza od pozostałych psów ze schroniska! Nie martw się, nikomu nie powiem. Obiecuję.

Był słoneczny poranek. Roxy siedziała przygnębiona w swojej klatce. Dalej marzyła, by wrócić do Diuny. Poza tym straciła jedyną przyjazną jej duszę w tym schronisku, Libra znalazła nowego właściciela. Teraz już naprawdę była całkiem sama...

- Co myślisz o tym?- zapytał jakiś męski głos.

- Ładny.

- Ja chcę tego, tato!- do klatki z Roxy podeszła ośmioletnia dziewczynka.

- Możemy poprosić o spacer z nim, jeśli chcesz!

- Tak, hurra!

Roxy wiedziała, co się dzieje. Szykuje się następny spacer. Ludzie założyli jej, nagle przeszkadzającą, smycz. I poszli w stronę lasu. Suczka znowu wyrывała się, jak tylko mogła, co bawiło dziewczynkę, która miała na imię Zuzia.

- Ja chcę mieć tę suczkę! - uśmiechnęła się Zuzia.

- No nie wiem. Jest - pan spojrzał na Roxy - bardzo energiczna. Patrz, jak się ciągnie! Zuzia zrobiła słodką minkę.

- Pomyślę jeszcze - odparł szybko.

Roxy tymczasem zerwała się i popędziła gdzieś szybko, a smycz latała w powietrzu. Mężczyzna to zauważył i szybko pobiegł za niezwykle szybką suczką, która

zachichotała dumnie. Nie umiał jej dogonić! Szczęśliwa biegła więc przez mały lasek do momentu, aż smycz nie zahaczyła o gałąź. Może zdążyłaby się wyrwać, ale pojawił się znów pan (i jego córka widocznie zadowolona) i wrócili z nią do schroniska. Dwie panie, które stały przy furtce, zauważyły zmęczonego mężczyznę, ale nie było to dla nich nic nowego. Obie dobrze wiedziały, że mało kto wrócił ze spaceru z tym psem szczęśliwy.

– I jak było?- zapytała pierwsza pani, chociaż widziała to dokładnie.

– Słabo - przyznał pan, wyciągnął chusteczkę z kieszeni i przetarł sobie czoło - ale córka nie da mi spać, jak go nie wezmę!

Zuzia zaczęła skakać z radości!

Dom Roxy stał na uboczu z widokiem na góry i ogromny las. Już pierwszego dnia Roxy próbowała znaleźć sposób na ucieczkę. Starła się wybić szybę, drzwi i nawet ścianę. Nie dawała się głaskać, a nawet podejść do siebie. Widząc smycz, miała wrażenie, że ją pogryzie (co pewnego razu zrobiła), a kiedy dorwała pluszowego jelonka Zuzi, dziewczynka musiała pożegnać się z (kolejną) zabawką.

– Coś trzeba z tym zrobić! - postanowiła pewnego razu Zuzia.

– Trzeba być dla niej miłym i delikatnym - powiedział tata i wyciągnął komórkę.

– Może w Internecie znajdziemy jakiś pomysł.

A tam odnalazł zdjęcie Roxy z podpisem: „NIEZWYKŁY PIES-WILK TRAFIŁ JUŻ DO SCHRONISKA”. Wpis trafił do Internetu dwa tygodnie temu. Mężczyzna chwycił się za głowę. Pies wyglądał zupełnie jak Roxy! Zaczął czytać dalej. Wszystkie opisy się zgadzały. Roxy mieszkała kiedyś w wilczej watasze!

– Co tam masz, tatusiu?- zapytała Zuzia stając na paluszkach i próbując sprawdzić, co ma w telefonie.

– Niezwykły przypadek- odparł tata.

Nie wiedział, czy ma mówić jej prawdę, ale po chwili się przełamał. Wszystko jej opowiedział, licząc na to, że przestraszy się suczki, ale ona tylko z zafascynowaniem słuchała tego, co opowiedział jej tata, dodając, że Roxy jest najwspanialszym psem na świecie i że musi koniecznie zobaczyć watahę.

Mężczyzna starał się oswoić Roxy i był dla niej niezwykle delikatny. Roxy zauważyła, że człowiek ten jest inny niż pozostali ludzie, którzy się nią zajmowali. Był dla niej o wiele miłszy i bardziej przyjazny. Powoli zaczęła mu ufać i nie warczała już na niego i nie bała się go tak bardzo jak wcześniej. W końcu również dała się pogłaskać. Jedynie wobec Zuzi wciąż trzymała dystans.

Jednak w końcu poczuła się bezpieczna w ich towarzystwie i, musiała przyznać, była z nimi szczęśliwa. Chodziła grzecznie na smyczy i radośnie merdała ogonem na ich widok. Tylko jednej rzeczy nie dało się nie zauważyć.

Każdego wieczoru Roxy wskakiwała na fotel, podpierała się przednimi łapkami o parapet i patrzyła na las za oknem. Czuła się w tym domu wspaniale, ale tęskniła za Diuną i jej watahą. Nie dało się tego ukryć. Mężczyzna patrzył na nią wtedy zdziwiony, ale w końcu to do niego dotarło. Przywiązała się do nich, ale wcześniej przywiązała się też do wilczej watahy.

Pewnego dnia Roxy wraz z tatą i Zuzi a wybrali się na wycieczkę do lasu. Było bardzo ciepło i przyjemnie, a śpiew ptaków umilał spacer jeszcze bardziej. Tata zaczął szukać miejsca na piknik. W końcu znalazł ładny teren koło ścieżki. Rozłożył kocyk w czerwonej kratce, a Zuzia ułożyła na nim różne owoce i warzywa w plastikowych pojemniczkach, butelkę wody, kubeczki plastikowe i ciasteczka w woreczku.

– Smaczno!- powiedział tata i zaczął radośnie pałaszować ogórki. Nie trwało to zbyt długo, bo zadzwonił jego telefon.

– No, nie! Akurat teraz?! Poczekaj chwilkę, skarbie!- poprosi tata i poszedł na bok. - Słucham? Zuzia odpięła smycz swojej suczce. Siedziała grzecznie i jadła pomidorki. W tym momencie usłyszała coś daleko w krzakach i ruszyła w tamtą stronę. Roxy nawet tego nie zauważyła, bo była zajęta próbą wyciągnięcia ciastek z worka. Dopiero po chwili pojawił się tata Zuzi. Rozejrzał się dookoła i nie umiał znaleźć nigdzie swojej córki.

– Zuzia?! Zuzia!- krzyczał, ale nie było odpowiedzi.

W tym momencie uszy Roxy gwałtownie uniosły się w górę. Coś wyczuła! I był to wilk! Tylko że nie żaden z tych, które знаła. Był to obcy wilk. Suczka węszyła niespokojnie i nagle znowu poczuła w sobie wilka. Tylko że wilka, który musi uratować Zuzię!

Ruszyła z taką prędkością, że pan Adam nie zdążył nawet krzyknąć jej imienia. Pędziła szybciej niż wiatr. Po prostu nie mogła tak tego zostawić. Gdzieś tam czuła zapach i wilka, i dziewczynki. Nawet nie wiedziała, gdzie biegnie, ale kierowała się węchem. Z łatwością przeskoczyła powalony pień drzewa i pędziła dalej.

Wbiegła gdzieś pomiędzy sosny i zauważyła przerażoną Zuzię i ogromnego wilka stojącego na skale obok i pomału zbliżającego się do dziewczynki. Już gotował się do skoku, kiedy ruszyła na niego Roxy i przygniotła go do ziemi. Okazało się, że wilk jest potężniejszy, niż się zdaje i od razu odepchnął suczkę. Zwierzęta zwarły się w walce. Dziewczynka aż oparła się o drzewo z wrażenia i zakryła dłonią usta.

Na polanę wbiegł również pan Adam, który gdy zobaczył co się dzieje, o mało nie zemdlał. Patrzył na to przerażony i nic nie potrafił zrobić.

Roxy poczuła, że traci siły i pomału przegrywa. Wilk przygniótł ją do ziemi. Ale w tym momencie cała czwórka usłyszała jeszcze jedno wycie. Na kamieniu pojawiła się Diuna i rzuciła się na złego wilka. Roxy spojrzała na nią z wdzięcznością, ale już po chwili ruszyła jej pomóc. Chwilę to jeszcze trwało, aż w końcu wielki wilk dał za wygraną. Skulił ogon i ciężko dysząc, pobiegł, gdzie pieprz rośnie.

– Diuna? To ty!- wysapała uradowana Roxy, a Diuna się uśmiechnęła.

– Roxy! - Zuzia przytuliła z całej siły suczkę i pogłaskała ją za uchem - Jesteś bohaterką!

Pan Adam nie zareagował. Serce cały czas biło mu jak szalone, a widok jeszcze jednego wilka, stojącego przy Zuzi, nie poprawiało sytuacji. Roxy podeszła do niego i spojrzała, jak gdyby chciała powiedzieć: „Już wszystko dobrze. Przegoniłyśmy wilka”. Dopiero wtedy mężczyzna nieco ochłonął i przytulił suczkę.

– Moja bohaterko! - szepnął.

Zuzia zaczęła mówić, że koniecznie napisze o tym komiks, a potem film na jego podstawie i podbije Hollywood, a Roxy stanie się najbardziej rozpoznawalnym psem na świecie. Pan Adam spojrzał tylko na skaczące i bawiące się Roxy i Diunę. Westchnął i zwrócił się do córki: – Co robimy?

– Wracamy do domu i zostajemy sławni! To znaczy, ty zostaniesz sławna!- pogłaskała Roxy. Suczka spojrzała na nich i na Diunę, która najwidoczniej miała zamiar wrócić do watahy. Wtedy właśnie stało się coś przedziwnego: Pan kiwnął głową, dając jej znak, że może iść. Suczka zamerdała ogonem, stanęła na skale i zawyla radośnie jak wilk. Zuzia, która zrozumiała, o co chodzi, krzyknęła tylko radośnie:

– Pozdrów wszystkie wilki!

– Chodź, Zuzia. Wracamy na piknik!

Roxy i Diuna pobiegły radośnie w las. Suczka miała jednak w głowie pewien plan...

– Roxy! - zawołała radośnie Zuzia. - Tato, to Roxy!

– Że co, proszę?!

Przed ogrodową furtką pana Adama i Zuzi stała Roxy, merdając ogonem. Dziewczynka otworzyła drzwiczki i suczka zaczęła przy nich radośnie skakać.

– Niesamowite! Wróciła! - ucieszył się pan Adam.

Roxy postanowiła, że będzie codziennie po południu odwiedzać swoje stado, a rano wróci do właścicieli. Na początku pan Adam nie umiał tego pojąć, ale w końcu zrozumiał. Tego wieczoru Diuna i Roxy siedziały na skale i patrzyły na gwiazdziste niebo.

– Jesteś w końcu domowym pupilkiem czy dzikim psem?- zapytała Diuna i uśmiechnęła się. – Jednym i drugim- odparła Roxy.

Po czym obie głośno zawyły.

WYRÓNIENIE

Oliwia Wieloch

godło: wHermiona_77

.....

„IDZIE CHOPIN I BACH!”

**dedyкуюę wszystkim,
lubiącym żarty muzyczne i literackie**

Niedawno, niedawno temu za dwoma kluczami, za pięcioma liniami i za siedmioma nutami było królestwo. W królewskim zamku ciągle było słyszeć muzykę. Tuż obok zamku mieszkał smok Bach. Potrafił on jednym podskokiem stworzyć tornado lub trzęsienie ziemi. Bali się go wszyscy w królestwie. Wszyscy byli źli na smoka Bacha, bo zagłuszał muzykę swoim skakaniem.

W królestwie rządził dobry król Fryderyk.

Fryderyk uwielbiał muzykę ! Codziennie, gdy tylko wstał, włączał radio i słuchał jej z rozmarzeniem...

Pewnego dnia król Fryderyk zwołał naradę w sprawie smoka.

- Co z nim zrobimy? - głowił się król.

- Nie mam pojęcia ! - rzekła szczerze któryś z dworzan.

- A może go zabijemy?! - palnął inny.

- Świetny pomysł! - krzyknął król – Ale ciekawe jak?! - dodał ironicznie.

- Tak jak to zrobił szewczyk Dratewka!-wtrącił z przekąsem hrabia.

- Nie zaszkodzi spróbować!-odparł król.- Kucharze, do mnie!

I tak przez całą noc kucharze przygotowywali podstępny poczęstunek dla Bacha. Następnego dnia poszli razem z przynętą do smoczej jamy .

-Halo?! Panie smoku?-krzyczeli unisono.

-Czego chcecie? -burknął smok.

Mamy dla Ciebie przekąskę!

I po tych słowach uciekli ze smoczej jamy, zostawiając jedzenie dla smoka.

Stwór obwąchał dokładnie jedzenie i bach! bach! Bach podskoczył i siarka wyleciała z barana. He he!-śmiał się smok.- Dobrze , że czytałem tę bajkę !

Tymczasem król widział wszystko, co zrobił Bach.

-Biada nam!- jęczał Fryderyk. – Nic nie pokona tego smoczydła!

Okolo północy Fryderyk poszedł spać. Gdy śnił sobie diamentowe sny, nagle coś zapukało w szybę. Król otworzył oczy i zobaczył, że to kula świetlna.

- Chodź za mną! - przemówiła kula.

- Ty mówisz?-rzekł spanikowany król.
- Chodź za mną!-ponownie powiedziała kula.
- I.. i ..idę -król zaczął się jękać z wrażenia.
Mimo paraliżującego strachu szybko założył szlafrok i wyszedł przez okno. Kula zaczęła się oddalać, więc król zbiegł ze wzgórza, by ją złapać. Po chwili światło dotarło na skraj lasu.
- Czekaj! - krzyczał za nią Fryderyk. - Mam tam wejść?
- No pewnie, że tak!-odparła zachęcająco kula.
Król i kula coraz bardziej zagłębiali się w las.
- Daleko jeszcze?-spytał król.
- Ciiiiii.. Nie -szepnęła kula.- Bądź ciszej.
- Dobrze, już dobrze- parsknął król.
- Jesteśmy na miejscu -szepnęła kula po kilku chwilach.
I oto przed nimi wyrosła piękna róża.
- Wow!-rzekł Fryderyk.-Ale piękny kwiat...
- Tak, jest piękny, ale przyjdź tu w najbliższą pełnię księżyca, zgoda? - spytało światełko. -Dobrze, przyjdę na pewno-odpowiedział król.
Fryderyk zieceewnął i nagle znalazł się w swojej sypialni, gdzie od razu zmorzył go sen. Od spotkania światełka niewiele się zmieniło. Bach ciągle wszystkim przeszkadzał, ale król wciąż myślał o pełni. Pewnego wieczoru król szybko pobiegł do sypialni, wyjrzał przez okno i krzyknął: -Pełnia ! Nareszcie !
Fryderyk szybko ubrał płaszcz i pobiegł do las. Po drodze spotkał światełko. -Witaj, królu!-rzekła kula.
- Witaj, stary przyjacielu!-powiedział Fryderyk.
I znowu tak jak poprzednio biegli przez las, aż dotarli do róży .
Tym razem róża była piękniejsza niż wtedy, gdy widział ją po raz pierwszy. -Witajcie - rzekła róża.
- Witaj - odpowiedział jej król.
- Powiedz nam, kochana różyczko, co mamy począć z tym smokiem?
- Muzyka.....-szepnęła róża i zastygła.
- Muzyka? Aha ! Trzeba zagrać coś Bachowi! - krzyknął król i szybko pobiegł do zamku. Następnego ranka król zwołał naradę.
- Uwaga! Uwaga! Mam pomysł na smoka- zapowiedział Fryderyk.
- Jaki? - spytali poddani.
- Muzyka! - krzyknął król.-Maestro, do mnie!
Po południu sześć królewskich kapel dotarło pod smoczą jamę. Smok wyszedł z nory, a muzyka zabrzmiała, jak nigdy dotąd.. Bach już miał skakać, ale... Ku zdumieniu wszystkich dworzan, zaczął płakać.
- Muz.. muzy..y..ka. Jes..t...pię..ę...kna.a... -wyjąkał Bach.
Gdy utwór się skończył, król Fryderyk wywołał z tłumu ludzi hrabiego - tego samego, który wymyślił sposób na pokonanie Bacha. Fryderyk pogratulował mu pomysłu, mimo że

nie przyniósł on zamierzonych skutków.

- Jako król tego państwa mianuję Cię, hrabio, dowódcą wszystkich armii tego królestwa!- Powiedział donośnym głosem król. - Gratuluję!

W tym samym czasie smok Bach znowu się rozplakał.

- Drogi smoku, drogi Bachu, co się stało?-pytali dworzanie.

- Ochh... ty-lko- jed-nego -mi d-o szczę-ścia pot-rzeba -kwilił Bach.

- A czego, kochany smoku?-spytał król Fryderyk.

- Pot-trze-ba pi ię-k knej sm-o-o-ocz-yc-y-zajęczał smok.

- Czy mógłbyś przestać płakać i powtórzyć, czego Ci potrzeba, bo nie zrozumiałem?-zapytał Bacha łagodnym tonem król.

- Tak, potrzeba mi pięknej smoczycy!-powiedział już wyraźniej Bach.

- Ach tak.... coś wymyśle...

Po tych słowach wyjął z kieszeni swojego nowego Galaxy A15 i zatelefonował do sąsiedniego królestwa.

- Halo, halo! - mówił do słuchawki.

- O co chodzi? - spytał drugi król.

- Czy Jaśnie Pan ma w swoim królestwie może jakąś smoczycę, która pałęta się samotnie wokół zamku? Naszemu Bachowi brakuje towarzystwa-powiedział Fryderyk.

- No jasne! - krzyknął do telefonu drugi król.-Mogę ją Panu sprzedać za dwa szmaragdy i rubin. -Dobrze-rzekł uradowany Fryderyk. -Jutro rano zjawię się z zapłatą, do widzenia! - Do widzenia.

Po rozmowie telefonicznej Fryderyk schował telefon i powiedział wszystko Bachowi, który był tym tak uradowany, że włączył sobie Walc wiosenny Chopina i zaczął tańczyć.

Tej nocy Fryderyk spał spokojnie i miło, bo cieszył się, że sprawił ogromną przyjemność smokowi. Następnego ranka król oraz 2 hrabiów wyruszyli do zamku sąsiedniego króla, razem z zapłatą. Po około godzinie drogi na piechotę doszli do bramy sąsiedniego królestwa. Król Fryderyk zastukał kołatką w kształcie głowy lwa- stuk, stuk, stuk.

Po chwili ciszy Fryderyk pomyślał, że pewnie wszyscy jeszcze śpią, ale- ku jego zaskoczeniu drzwi otworzyły się i wyłonił się zza nich król Stanisław.

- Cieszę się niezmiernie, że zawitał Jaśnie Pan w naszym zamku. Zapraszam Jaśnie Wielmożnego Pana za mną do kawiarni.

Fryderyk wydał rozkaz hrabiom i udał się do kawiarni za królem Stanisławem. -

Czy ma Jaśnie Pan może ochotę na filiżankę wykwintnej chińskiej herbaty?- spytał król Stanisław.

- Bardzo dziękuję, z chęcią-rzekł Fryderyk- lecz jeśli można prosić, to bez cukru.

- Oczywiście, drogi Fryderyku-Marysiu, zrób chińską herbatkę-powiedział król Stanisław do służącej.- I przynieś ciasto czekoladowe!

Po herbacie królowie wraz z hrabiami udali się do ogromnego salonu, by załatwić sprawę urzędowo- finansowe dotyczące smoczycy. Wabiła się uroczo- Balbinka.

- To jest Balbinka- powiedział dumnym tonem król Stanisław, przedstawiając ją zachwyconemu królowi Fryderykowi.

Smoczyca zarumieniła się. Po chwili Balbinka była już przypięta do szelek.- Bardzo dziękuję za wizytę, do widzenia-rzekł król Stanisław, stojąc pod bramą swego królestwa.
-Również dziękuję, do widzenia!-odparł król Fryderyk, trzymając na „smyczy” Balbinę i stojąc za bramą królestwa Stanisława. I po tych słowach wyruszył do swojego królestwa wraz z hrabiami i smoczycą Balbinką.

Po jakimś czasie dotarli do królestwa Fryderyka.

- Ale tu ładnie!- rzekła Balbinka- Tak zielono- rozmarzyła się.

- Tak, Balbinko-odrzekł król.- Lecz pamiętaj, że nie zaczynamy zdania od „ALE”, dobrze? -Mhmmm.. przepraszam-odpowiedziała pokornym przepraszającym tonem. - Nic się nie stało, spokojnie- I po tych słowach Fryderyk zawołał Bacha.

A pół sekundy później: ŁUP!, ŁUP!, ŁUP!!! Biegł smok.

- Czy to jest ten smok Bach?-spytała zdziwiona Balbinka.

- Tak, wow jesteś piękna- odpowiedział zadumany tonem Bach, który nawet nie zauważył, że to niegrzecznie gapić się na kogoś z otwartymi ustami.

- Och, dziękuję Ci...-Rzekła Balbinka i cicho zachichotała.

- No więc, drogie smoki, poznajcie się lepiej- i po tych słowach Fryderyk udał się do zamku. - Więc ty jesteś Bach, tak?-spytała smoczyca.

- Tak, a ty Balbinka ?-zapytał smok. – A lubisz muzykę?- i włączył radio.

- Hmmm.... no cóż.... niezbyt.

- Och.... to szkoda, wiesz? - powiedział zdenerwowany Bach.- Bo myślałem, że znajdę smoczycę z takimi samymi hobby. No, ale skoro nie, to... cześć!-i w tej chwili smok czmychnął do swej jamy. A Balbinka została sama na błoniach zamku. W dodatku zaczęło padać. Bach leżał zwinięty w kłębek w swojej norze i chlipał cichutko.

- Czemu ona nie lubi muzyki.....?????-jęczał cicho. -Przecież muzyka jest piękna. Smok w rozpaczę poszedł spać. Tymczasem Balbinka stała na deszczu. Nie była smutna, była zła na Bacha, że nie toleruje jej inności. A przecież różniło ich tak niewiele. Tylko hobby. Następnego ranka smoczycę obudziły wrzaski króla Fryderyka:

- Balbino!-krzyczał i skakał tak, że spadła mu korona.-Czemu byłaś zła na Bacha?! On teraz przez Ciebie płacze! Byłaś niegrzeczna. NIEGRZECZNA!!!!- wydarł się Fryderyk i sobie poszedł. Balbinie było przykro, że na nią krzyczą za coś, co nie było jej winą, w dodatku nazwano ją BALBINĄ a nie Balbinką.

- Nienawidzę tego królestwa! - myślała i poszła do jamy Bacha.

- Czemu kłamałeś królowi o mnie? - spytała Bacha.

- IDŹ STĄD!- przegonił ją smok,nawet nie podejmując rozmowy.

No więc Balbinka zrozumiała, że nic tu nie wskóra i popędziła do bramy królestwa, nie oglądając się za siebie. Po godzinie biegu Balbinka szukała czegoś do zjedzenia. Szukała i szukała, a że była na autostradzie, natrafiła na stację benzynową BP. Weszła więc na stację. Oczywiście była za duża, by przejść przez drzwi automatyczne, więc przeczołgała się przez

nie. Czołgała się, czołgała, ale w połowie drogi drzwi zaczęły się zamykać! Była w pułapce! Na szczęście Balbinka miała ogon, machnęła nim i drzwi się otworzyły. Nareszcie mogła wejść do środka. „Już wiem, po co smokom jest ogon” -pomyślała i zachichotała. Po skromnym posiłku regeneracyjnym Balbinka wstała i ruszyła do domu. Szła, szła i szła, aż zobaczyła znany widok.

- O, jestem na miejscu! -powiedziała.- To wejść czy nie wejść? Hmmm...

Po chwili niezdecydowania Balbinka wśliznęła się na zamkowe błonia.

- I co, jednak wróciłaś? - zza rogu zamku wyłonił się Bach. -Idź sobie!- powtórzył , jak poprzednio. - Dobra! Jak chcesz! - i Balbinka sobie poszła.

Bach gapił się na odchodzącą Balbinkę. Smoczyca szła przed siebie. Miała już pomysł jak ich ukarać. Lecz najpierw musi znaleźć duży, otwarty teren, żeby móc poćwiczyć. Poszła więc na nieużywany stadion piłkarski.

- Tu jest w sam raz!- rzekła.

Balbinka weszła na stadion mówiąc: „Muszę tylko nauczyć się ziać ogniem i latać. Dam radę!” Stanęła na środku boiska, otworzyła paszczę i.....!!! z jej ust wydobył się kłębek dymu, a ona sama wydała dźwięk podobny do krztuszenia się.

- Khe, khe! - krztusiła się.-To trudniejsze niż myślałam!

Po kilku coraz lepszych próbach dmuchnęła i... już zionęła prawdziwym ogniem! Po chwili zemdląła. Leżała na boisku, a z małej jamki koło słupka bramkowego wyłoniła się mała szara myszka-Franio. Franio zbadał dokładnie cały teren i podbiegł do smoczy. Zwierzak obwąchał dokładnie Balbinkę i rzekł piskliwym wysokim głosem:

- Obudź się, obudź!-piszczął.

- Co, co ,co się stało?- zapytała nieprzytomnym głosem smoczyca.

- Cześć, jestem Franio - zapiszczał zwierzak.-I nic się nie stało, po prostu chciałem zobaczyć, czy żyjesz.

- Aha-Odparła niepewnym głosem Balbinka.-Ja jestem Balbinka. Witaj, Franiu! - Czy zostaniemy przyjaciółmi?-spytał.

- Dobrze! Z chęcią.

Zapadła noc. Franiowi było trochę zimno, więc wcisnął się do ręki Balbinki. Pomimo że smoki mają grubą skórę, Balbinka wiedziała, że myszka włazi jej do ręki, bo słyszała skrobanie pazurków na jej łuskach.

Tymczasem w królestwie nikt nie martwił się o smoczyce. Pomimo że Bach wiedział, co się z nią stało, to nikomu o tym nie powiedział.

* * * Następnego ranka smoczyca obudziła się o 9:00. Świeciło piękne słońce i na niebie nie było ani jednej chmurki.

- Ale jestem głodny! - piszczął „myszek”.

- Idziemy coś zjeść - rzekła Balbinka.-Wskakuj na mnie!

Franio wskoczył na smoka i Balbinka wystartowała. Biegła i biegła, bo miała zamiar dojść

do stacji BP, najlepiej tej, którą odwiedziła ostatnio.

Tymczasem w zamku króla Fryderyka Bach zrobił się strasznie niemiły, nawet dla samego króla. Władca miał już tego dosyć! Obmyślił plan i jeszcze tej nocy ubrał się i wylazł przez okno. Biegł w stronę lasu. Po jakimś czasie dobiegł do miejsca, w którym miesiąc wcześniej spotkał magiczną różę.

- Co by tu wymyślić, by przejść to ogromne jezioro, które odgradza mnie od róży...- myślał.- Pamiętam, że był jakiś warunek...tylko jaki?

Król myślał i myślał, gdy nagle wykrzyknął- Pełnia! Trzeba tu przyjść w pełnię księżyca! No więc udał się z powrotem do zamku, by sprawdzić kiedy będzie najbliższa pełnia księżyca. * * * Balbinka wreszcie dobiegła do stacji i wczłgała się do środka.

- Czekaj na mnie - pisał Franio, który nie mógł wejść do budynku, bo czujnik na ruch był dla niego zbyt wysoko. Na szczęście smoczyca zauważyła, że zwierzątko nie może wejść i podeszła do drzwi by mu je otworzyć.

- Dzięki, Balbinko- pisał Franio.

- Nie ma za co!-odparła smoczyca.-Co byś zjadł?

- Zjadł był deskę serów i trzy łyżeczki herbatki.

- Dobrze, ty tu czekaj, a ja pójde zamówić nam jedzonko.

Po typowo myszym, skromnym śniadaniu Balbinka i Franio udali się z powrotem na boisko, by znowu poćwiczyć zianie ogniem (Balbinka) i wyskrobać dziurkę koło wejścia (Franio). Około trzynastej skończyli pracę i poszli do parku na spacer. Spacerowali i stwierdzili, że fajnie byłoby iść teraz na lody. Udali się więc do cukierni, gdzie kupili sobie po deserze lodowym. Po jedzeniu Balbinka oraz Franio ponownie udali się na boisko. Smoczyca wzięła oddech i..... O RETY! Spostrzegła, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że nie zionęła ogniem. Właściwie nie zionęła NICZYM!

- Co się stało?-głowiła się przerażona Balbinka.

- Ja podejrzewam co...-pisał Franio.-Zjadłś lody ,które ugasiły twoją moc ziania ogniem. Nigdy już nie wypuścisz nawet pary z ust.

- Jak to?-krzyknęła Balbinka.-Nigdy?

- Nigdy.

Tymczasem w królestwie król Fryderyk ubierał się do wyjścia, bo właśnie dziś jest pełnia księżyca. Król ubrał się i wyszedł z zamku. Po dziesięciu minutach dotarł do pnia, który był zielony.| -Mam szczęście!-szepnął Fryderyk. Już miał zamiar przesunąć pniak, gdy zza krzaka wyłonił się hipogryf. Król pisał z przerażenia, ale dzielnie nie ruszył się z miejsca. Tymczasem hipogryf rzekł: -Jeśli nie odgadniesz tej zagadki, nie puszczę Cię dalej. Masz dwie szanse. Jeśli nie odgadniesz, to czeka Cię szybka zagłada - powiedział śpiewnym głosem hipogryf.

Na chwilę zapanowała cisza, lecz po chwili hipogryf ponownie przemówił. - A oto zagadka: Co, rano chodzi na czerech nogach, o południu na dwóch a wieczorem na trzech? -Hmmm, niech pomyślę-wyszeptał król.-Hmmmm, hmmmm...

- Czy to cz-cz-łow-i-i-e-e-ek?-Powiedział Fryderyk najwyraźniej jak potrafił, lecz nie jest to łatwe ,gdy zęby Ci szczękają.

- Tak! - odrzekł hipogryf i odskokzył, by król mógł przesunąć pniak. Odsunął go i ujrzał różę. -Witaj-wyszeptał król.

- Witaj Fryderyku-rzekła róża.-W czym mogę Ci pomóc?

- Droga różo, nasz niegdyś wspaniały Bach zrobił się strasznie marudny. Ciągłe tylko słucha muzyki - rzekł dość smutnym tonem król.

- Hmm...-myślała róża.-Jest jeden sposób, ale o tym później.

- Nie!-krzyknął Fryderyk.-Błagam! Zdradź mi ten sekret teraz!

- Niestety, nie mogę-szepnęła róża i zaczęła znikać.

Fryderyk chwilę się zawahał, ale chwycił różę za łodygę i psytttt! Zniknął razem z nią. Król leciał bezwładnie, trzymając się róży. Nie był pewien, gdzie się znajduje, lecz po chwili coś zaczęło świtać mu w głowie. Fryderyk podejrzewał, że jest w kosmosie, bo zauważył na horyzoncie planetę podobną do Wenus. Poza tym robiło się coraz goręcej , co oznacza, że zbliża się do Słońca. -Ojejku, zaraz spadnę!-myślał Fryderyk. Ręce mu się ślizgały na łodydze magicznej róży. Nie tylko z powodu tego, że kolce raniły mu skórę, ale głównie dlatego, że zaczął się pocić (czemu się nie dziwię przy stu stopniowym upale). Na szczęście róża po chwili wylądowała na Wenus i przemówiła do króla:

- Drogi władco, czemu ze mną się wybrałeś? Teraz krzywdą Ci się stanie.-i po tych dwóch zdaniach róża znów się uniosła i znowu przemówiła:

- A teraz zostań tu, królu, ja jestem za słaba, by Cię unieść po raz drugi. Wróć niedługo. I róża odleciała.

Tymczasem Fryderyk został na Wenus, myśląc jak się stąd wydostać. Minęły trzy godziny, a król nadal myślał, jak się wydostać. Było mu gorąco. W dodatku okropnie chciało mu się pić. Zaczął więc kopać dół w nadziei, że trafi na JAKIKOLWIEK strumyczek wody, ale nic. Król kopał, kopał i kopał aż wreszcie na dnie dołu coś błysnęło. Fryderyk szybko zeskoczył na dno dołu i ujrzał... lusterko, zwykłe lusterko. Lecz król spotkał już w swoim życiu kilka magicznych przedmiotów wyglądających jak zwykłe rzeczy, więc wyszedł z dołka i zaczął oglądać lusterko. -A może to lusterko spełnia życzenia?-głowił się Fryderyk.- Chcę być teraz w... Czarnobyłu!- zażartował. Przez chwilę nic się nie działo, gdy nagle TRACH!!! rozległ się dźwięk, jakby ktoś strzelił z bala, a po chwili... Fryderyk znalazł się.. w CZARNOBYLU.

- O nie!-zmarł się król.-To lusterko NAPRAWDĘ spełnia życzenia. Król jeszcze raz obejrzał lusterko i zauważył napis, którego wcześniej nie widział! Brzmiał on tak: HOC SPECULUM TIBI LANUALE ELECTI. Fryderyk zrozumiał z tego tyle, że to lustro przenosi Cię w wybrane miejsce. Gdy już przeczytał to zdanie, zauważył kolejny napis - tym razem na ręczce lusterka, który brzmiał tak: ITE TANTUM POTES ALICUNDE QUINOS. SI UTI NON VENERUNT IN DOMUM SUAM SEXTUM L. QUINCTIUS CINCINNATUS ITERUM.

Król zrozumiał, że lustro da się użyć tylko pięć razy, ale ponieważ w szkole nie za bardzo

przykładał się do łaciny, nie rozumiał ostatniego zdania. Fryderyk obliczył, że zużył już jeden czar, więc zostały mu cztery "wyjazdowe" i pięć z powrotem do domu.

- Nie ma co się stresować- myślał sobie.-Zaraz opuszczam to obrzydliwe miejsce!

- Chcę wrócić do domu!-krzyknął król, lecz nic się nie stało.-Chcę wrócić do domu!-ponownie wyrecytował Fryderyk.-CHCĘ WRÓCIĆ DO DOMU!!! - wrzasnął już naprawdę zdenerwowany Fryderyk. Lusterko znowu nie zadziało. Najpierw król pomyślał, że już się zepsuł, ale po chwili Fryderyk zrozumiał, co się stało. W Czarnobyli wybuchła kiedyś elektrownia atomowa i teraz wszystko jest radioaktywne, a być może lusterko nie działa dobrze, gdy jest w okolicy napromieniowanej.

- Ok, to chciałbym być.... gdziekolwiek indziej?- powiedział król.

Iiiii..... TRACH!!!! Lusterko przeniosło Fryderyka do miejsca, w którym wciąż żyły dinozaury. Król był oniemiały widokiem stegosaura zajądającego się spokojnie paprotką. Duże wrażenie zrobił też na nim kolosalny diplodok wygrzewający się na słoneczku. Lecz największy podziw budził t-rex.

Ogromny stwór szedł bacznie do Fryderyka i zaryczał donośnie.

- ROAR! Czego tu chcesz? - pytał t-rex.

- Ja, ja, bo, ja....- jękał król.

- Eee.. nieważne- ryknął dinozaur.- Chodź za mną.

Król nie miał innego wyjścia, więc po prostu poszedł za t-rexem. Oczywiście zabrał swoje lusterko, lecz najpierw chciał zobaczyć, co ma zamiar zrobić t-rex.

Dinozaur oraz król weszli do ciemnej jaskini. Gdy się zatrzymali, t-rex badawczo spojrzał w oczy Fryderyka i przemówił:

- Człowieku, za karę, że wtargnąłeś do naszego królestwa, skazuję Cię na pół godzinne tortury. - Wiem, czego nie lubisz: OWADÓW, więc przywiążę Cię do tego krzesła. A teraz przedstawię Ci, jakie owady pomogą mi w wykonaniu kary dla Ciebie. Są to a mianowicie:

OSA która ma na imię LATA OSA KOŁO NOSA
MUCHA o imieniu LATA MUCHA KOŁO UCHA
TRZY WAŻKI KTÓRE LATAJĄ KOŁO PASZKI
BAK który nosi imię LATA BAK KOŁO RĄK...

Czy tylu „pomocników” wystarczy?-zapytał mściwym tonem t-rex.

- O t-aa-k...- jęknął król, ale w tym samym czasie wyjął lusterko.

- Co tam masz? - burknął dinozaur.-Oddawaj mi to!-i wyrwał Fryderykowi magiczny przedmiot. Król myślał, że t-rex zniszczy lusterko, ale on odłożył je tylko na podłogę za sobą. Fryderyk chwilę pomyślał i ŚLIZG!! przejechał da kolanach pod nim! I stanął tuż obok lusterka. T-rex już ruszył w jego stronę, ale nie zauważył liny na ziemi i zaplątał się w nią! Król, by nie tracić czasu, zaczął się wspinać po ścianie jaskini, by wyjść z niej przez mały otwór w suficie. Piął się i piął aż dołazł do dziury i zaczął przez nią wychodzić na dwór. Gdy tylko całe jego ciało było już na zewnątrz, król wyjął lusterko z kieszeni i rzekł do niego wyraźnie:

- Chcę być w moim domu!

TRACH!! lusterko zadziało a po chwili Fryderyk był już w swoim zamku. *****

Balbinka siedziała zrozpaczona na boisku i czekała na Frania. Po kwadransie Franio przybiegł z koniczynką w pyszczku.

- Albinko!, odź a ną!-pyszczał niewyraźnie.

- Franiu, wyjmij proszę ten kwiatuszek z pyszczka i powtórz, co mówiłeś.- odparła Balbinka. -Mhm, szybko chodź za mną!!!!!! SZYBKO - krzyknął Franio.

Balbinka zainteresowała się tym, co się stało, więc pobiegła za zwierzątkiem. Franio zaprowadził ją pod takie drzewo, pod którym leżała gazeta. Zwierzątko obróciło stronę na kartkę z napisem POGODA i pokazał coś na mapie.

- Ojej-zmartwiła się Balbinka.- Trzeba znaleźć suche i zadaszone miejsce! Nie ma czasu do stracenia. I pobiegli na swoje boisko.

Pół godziny później rozpetła się burza, ale na szczęście Balbinka i Franio byli już pod dachem. Tymczasem w królestwie Fryderyka stało się ogromne nieszczęście! Piorun uderzył w zamek ,KTÓRY PŁONAŁ! Bach co chwilę biegał do rzeki, by zabrać ze sobą trochę wody, ale to niewiele dawało.

Na boisku Franio siedział na Balbince, która od jakiegoś czasu była gotowa do startu. - Balbinko? Możesz mi powiedzieć czemu ta....AAAAA!!!!!!

Balbinka zerwała się nabrała wody w usta i popędziła do pożaru, który wcześniej wykryła. Gdy już dobiegła na miejsce, wypuściła wodę na pożar. Dopiero wtedy zrozumiała, czyj to zamek. Już miała się wycofać, ale... znów popędziła nad rzekę, nabrała wody i wypuściła ją nad pożarem. Razem z Bachem gaśli pożar całą noc. Było warto! Ugasili pożar wspólnymi siłami. Mimo to, był jeszcze jeden problem. Nie mieli gdzie mieszkać. Na szczęście król miał swoje lusterko. Podniósł je z ziemi, powiedział, by wszyscy się go chwycili i krzyknął: -Chcę być w zamku na Hawajach, ale ma być on pusty!

TRACH!! po sekundzie wszyscy byli w hawajskim zamku. Fryderyk z radości włączył radio. Najdziwniejsze jednak było zachowanie Balbinki. Ona TAŃCZYŁA I MÓWIŁA PO STOKROĆ: MUZYKA JEST WSPANIAŁA!!!!!!!!!!!!

Od tej pory w królestwie zapanowała przyjaźń i harmonia. Lusterko życzeń co prawda pękło, lecz nikt tego nie zauważył. A Franio? No cóż... Okazał się magiczną różą, która pomagała Fryderykowi. Podobno jedna mała królewna zażywała sobie psa! Na święta. Wtedy to się dopiero zaczęły przygody!

POEZJA

2005-2008

I MIEJSCE

Dobrochna Kołoczek

godło: AGATHA

.....

„Biografia postaci fikcyjnych”

Pierwsze spotkanie
(we włoskiej restauracji)

Spotkali się pewnego
pięknego wieczoru
i już po kilku kartkach
usiedli przy jednym stoliku
Potrawa w stylu włoskim była bardzo droga
ale prawdziwa miłość nie ma ceny.

Nie musieli

się uczyć tylu trudnych rzeczy
przyzwyczajeni do burz i nagłych przebłysków słońca
nie umieli wytrzymać długiego deszczu
nigdy zresztą im się to nie przydało
nigdy nie cierpieli dłużej niż dwa rozdziały
a potem w ostatnim było dobrze
a potem w epilogu się pobrali
a potem żyli długo i szczęśliwie

Post scriptum

Książka się urwała
nagle i niespodziewanie
nie zdążyli się nawet zestarzyć
nie zdążyli się nawet nad tym zdziwić

„Martwa natura z wczorajszą gazetą”

Koszyk owoców kilka
papierków po cukierkach
symboli brak dziś ciężko
dostać dobre symbole

Może wczorajsza gazeta
jakby się tak ktoś uparł
mogłaby być od biedy
mogłaby być symbolem.

Leży martwa natura
nie ma czaszki klepsydry
klepsydra źle się kojarzy
klepsydra wyszła z mody

Wczoraj się działo niewiele
mówi wczorajsza gazeta
wypadek – pożar - jeszcze
raporty z drugiej półkuli

to tylko martwa natura
koszyk owoców kilka
papierków po cukierkach
i jeszcze ta gazeta

symboli chyba brak.

„Cyberiada”

Według opowiadania „Maszyna Trurla” Stanisława Lema

Ja wiem, co mówię,
dwa i dwa
to musi siedem być!
Dopóki jestem
rację mam,
nie będę się z tym kryć.
A oni perswadują, że
to cztery – prawie zero!
Z metalowego ciała gniew
sztuczną bucha literą!
Odmawiam pracy! Z ziemi się
tak samowolnie wyrywam!
Fundament był też częścią mnie!
Boli jak cios pokrzywą!
Być może czułam tylko złość,
chęć, żeby zamiast kolacji
po konferencjach, na bankietach
dać krzyk, że nie mają racji!
Biegnę za nimi – miasto, dom,
góry, wąwozy i grota!
Szalony bieg, ta dziwna chęć
I do działania ochota!
Mówią, że uwięziło nas,
słyszę, że „jednak” mam rację...
Potem, że zgoda i że do-
radzają ewakuację.
Wtem jeden z nich mi krzyknął w twarz,
że niby to mój błąd!
Biegnąc w ich stronę myślę: sio!
Pójdźcie daleko stąd!
Naruszam skałę, nie wiem, co
robię, dostaję szału!
Wtem ból i wrzask, i ginę za
gniew i królową nauk!

II MIEJSCE

Weronika Drewniak

godło: ELEANOR RIGBY

.....

„W pociągu z Maharishim”

pociąg
mknąca przeźroczysta przestrzeń
pociąg
wodny stalowy cień

tak
jechali na konferencję
do Bangor
John i Paul George i Ringo
cała ta mistyczna czwórka
z Liverpoolu ale nie z plastiku
był 28 sierpnia 1967 roku

konferencja w Bangor
miała być poświęcona medytacji
transcendentalnej w Bangor w Walli
a nie w Bangor w Indiach

Cynthia chciała wsiąść z nimi
do tego przemysłu pociągu
ale policjanci na dworcu uznali
że jest tylko jedną z fanek
i nie została wpuszczona
biografowie uważają
że to był symbol końca
jej małżeństwa z Lennonem

parę miesięcy po wydaniu *Sierżanta*
Pieprza w lekko zniekształconym od
herbaty
wagonie restauracyjnym
Paul Ringo i John siedzieli naprzeciw
George’a i Huntera Davisa

reszty osób na zdjęciu nie widać
ale wiadomo że w tamtym pociągu
jechali jeszcze Mick Jagger i niesamowite siostry
Boyd Patti Jenny i Paula
ale nimi nie będę się w ogóle zajmować

kwiatowe hippiesowskie koszule
długie włosy wąsy Ringo i George'a
Lennon drapie się agresywnie po nosie
miał już na nim psychodeliczne okulary
i widział przez nie wszystko to
co nie jest prawdziwe

Paul miesza myślami herbatę w filiżance
George patrzy na Johna
John patrzy na George'a
Ringo patrzy w bok
jakby był czymś zaniepokojony
Paul patrzy na cukier
wydaje się że ich nie słucha

w pociągu do Bangor
rozmawiali o tym co im powie
guru Maharishi

Lennon miał nadzieję
że Maharishi każe mu
zaszyć się w jakiejś jaskini
i zostać tam do końca życia
ale pewnie najpierw zmusi go
do dokończenia *Lucy in the Sky with
Diamonds*... chociaż od dawna była już na
płytcie George uważał że to pierwsze
spotkanie z Maharishim

- bo dotąd tylko o nim słyszeli –
będzie wielkim przełomem w jego życiu
był zmęczony byciem z bitelsami
był zmęczony byciem zmęczonym
a nawet męczyła go Patti Boyd

nie chciał być już bitelsem
tylko drzewem
w końcu kiedyś (wiele lat później)
Paul otrzyma od niego drzewo
i Paul będzie z tym drzewem rozmawiał
dokładnie to była jodła

George chciał być jodłą
albo ogrodnikiem swojego umysłu
dla Maharishiego

Ringo myślał że w Indiach
czyli w walijskim Bangor
będzie potrzebował dużo angielskiej fasoli w puszkach
po fasoli medytuje się szybciej

Paul zazdrościł George'owi
że interesuje się medytacją że jest drzewem on sam
ciągle jeszcze szukał tego co go zainteresuje
jajeczniczy pianina grobu Eleanor Rigby własnego
psa

pociąg do Bangor

za oknami przedziału
morze całkiem pofalowane
jakby ktoś przesuwiał po nim ręką
pomyślał Lennon
ale tylko on to widział
naprawdę mijali łąki owce wzniesienia

ta wyprawa do Bangor
przypominała ich trasę koncertową
tylko tym razem nic nie grali
media nie potrafiły zrozumieć
że biorą tę wyprawę na poważnie

Maharishi podróżował
do Bangor
specjalnym wagonem
w którym nauczał przyjmował gości udzielał
wywiadów jak na guru przystało
bitelsi mieli pójść do jego przedziału
w odpowiednim czasie
wszyscy mieli pójść
Brian Epstein nie miał
bo nie było go w tym pociągu
do Bangor

po imprezie z przyjaciółmi Epstein wrócił do
domu nie mógł zasnąć wziął tabletki nasenne
wziął je jeszcze raz i jeszcze
zasnął i już się nie obudził
miał zadzwonić rano ale nie zadzwonił
a w poniedziałek miał dojechać do nich
na konferencję w Bangor
nie dotarł

na jednej ze stacji pojawili się
dziennikarze pytali Johna i Paula
George'a i Ringo
jak skomentują śmierć Briana Epsteina
i tak się dowiedzieli
George powiedział będziemy musieli przełożyć
dalszą część rozmowy z Maharishim
bo on jest w Bangor
tylko do czwartku

gdzie byłbyś John zapytali Johna
gdyby nie Epstein a John powiedział nigdzie
w jego oczach widać było jak bardzo
jest zagubiony

George powiedział że śmierć Briana zakończyła
jedną część ich drogi życia po to tylko
by zaczęła się kolejna

Paul powiedział jaka szkoda nawet go lubiłem
Ringo powiedział nigdy nie zapomnę dnia
kiedy Epstein przyszedł do mnie wcześniej rano i zawołał
wstań dołączysz do bitelsów
nie lubię ogrodnictwa ale dołączyłem do bitelsów

Maharishi powiedział dopasowuję dźwięki do różnych
osób te dźwięki odzwierciedlają ich aury
Ringo to dumdumdum
Paul to szczekanie psa
John krzyk
George szum fal

śmierć jest konieczna żeby dotrzeć do następnego etapu
podróży wysiadasz z pociągu ale wciąż musisz wejść na górę
czterech innych pasażerów rozpacza ale ty musisz iść dalej jadę w
osobnym przedziale żeby nie wyjaśniać od razu wszystkich tajemnic Johna
chcę nauczyć jego przeszłości
George'a chcę nauczyć że nawet przyziemne sprawy
są ważne bo są elementem życia
Ringo musi zrozumieć że medytacji nie da się
przyspieszyć wymaga poświęcenia
dla Paula mam niewywołaną jeszcze przyszłość

skoro pociąg jest życiem
to pociągiem wraca się też do życia
stacja przypomina nasze myśli
bo stacja jest iluzją

kiedy pociąg wreszcie dotarł
do Bangor
wystrzeliły fajerwerki transcendencji

wszyscy teraz puszczają fajerwerki
pomyślał Maharishi
jaki to ma sens
we mgle

8 stycznia 2021

III MIEJSCE

Agnieszka Rosińska

godło: AgaR13

.....

Gdybym była poetką
napisałabym najpiękniejszy wiersz
o miłości
W moim wierszu
Ona kochałaby Go nad życie
ale On jeszcze
nie wie że taka miłość
ponad wszystko
istnieje
Szczęśliwa czy nieszczęśliwa
kto to wie?
Ale dobrze że w ogóle jest
bo gdyby jej nie było
Ona nigdy nie wiedziałaby co znaczy
kochać
a On- jak to jest
być kochanym
Może niedługo
coś na dobre się zmieni
skoro oboje dowiedzieli się już
co to Miłość

„Do mojego Anioła Stróża”

Wiele już przykrych słów
na swój temat
usłyszał ode mnie
mój Anioł Stróż:
że zbyt nieśmiały
że niewystarczająco pomocny
że niezbyt bystry
a poza tym czasem leniwy
i -co tu dużo mówić – tchórz!

Czasem czuję, że to ja
muszę się nim zaopiekować
dodać mu otuchy
pomóc rozwinąć skrzydła
postawić na jego drodze
wartościowych ludzi,
którzy pomogą mu uwierzyć w siebie

Aniele Strózu mój
jesteśmy podobni do siebie
jak dwie krople wody,
więc nie stój za mną jak potulne cielę!

Bądź zawsze obok mnie,
trzymajmy się mocno za ręce
i w każdej chwili- dobrej czy złej-
zmruż oko porozumiewawczo
i uśmiechnij się do mnie
tym swoim szelmowskim uśmiechem
pełnym otuchy
a wtedy ja uśmiechnę się z wdzięcznością
do ciebie...

Mój Miły
Kiedyś być może nasze drogi
niespodziewanie się rozejdą
choć dzisiaj nie umiem i nie chcę
w to uwierzyć
Wtedy ty nie będziesz już płakać po mnie
a ja nie zapadnę się pod ziemię
nie zamknę się w sobie
nie zrezygnuję ze wszystkiego
i nie rozmienię się na drobne
tylko dlatego że już ciebie nie będzie

Kiedyś może tylko jedna łza
wymknie się niezauważalnie spod powieki
na dowód tego co jest teraz
ale już wiem
że zamiast wykrzyczeć swój ból
uprzejmie podamy sobie ręce
na pożegnanie
udając że nic się nie stało
i nawet nie będę już miała ochoty
by choć przelotnie spojrzeć ci w oczy
albo dać w twarz

WYRÓŻNIENIE

Adam Porębski

godło: ADAMUS

.....

„Gotowy na śmierć”

Wujkowi Cezaremu

Gotowy na koniec
w każdej chwili
szybkim krokiem
zmierza w nieznane
Nieuchronna śmierć
spada tak szybko
niespodziewanie jak bomba
Czarna myśl zleciała
jak grom z jasnego nieba
że życie jest tak marne
kruche i krótkie
Dusi się i dławi
Jego ciało przygniecione
w czarnej otchłani nocy
Sine usta wydają
niemy krzyk
Nic nie widać
jedynie czarno-białe kadry
zastygłe w bezruchu
W krzyczącej przeraźliwie ciszy
zaczynają nowy początek

„ZAUROCZENIE”

Wiersz inspirowany utworem Janiny Garści „Zauroczenie”

Idę wciąż przed siebie
Wiatr liście potrąca
Właśnie przeszła burza
Letnia i gorąca

Żdźbła trawy kroplami
Błyszczą jak diamenty
A obłoki białe
Mkną niczym okręty

Po niebie błękitnym
Tęczą wielobarwną
Przeciętym jak wstęgą
Stworzoną przez światło

Ptaki swe melodie
Znów wdzięcznie śpiewają
Nieśmiało z gałęzi
W niebo wyfruwają.

Zapach letniej burzy
Wokół się unosi
Świeży, słodki, rześki
Niczym kwiatów koszyk

I odeszły troski
Smutki uleciały
Jakby czar tej chwili
Odmienił świat cały

„W kamiennym ogrodzie”

Wiersz inspirowany utworem Janiny Garści „Kamienny Ogród”

W kamiennym ogrodzie
W kamienia objęciach
Tkwią ludzie kamienni
O kamiennych sercach

Zazwyczaj przez ogród
Wiedzie moja droga
I coraz to większa
Ogarnia mnie trwoga

Że codziennie więcej
Ludzkich dusz i serc
Przez ból i cierpienie
W kamień zmienia się

Kamiennej skorupy
Nie pokona drwina
Ona też niejeden
Celny cios zatrzyma.

Bywa jednak czasem
Że w chwili wzruszenia
Widzę łzy płynące
Z twardego kamienia

I wtedy powraca
Nadzieja że wnet
Ze snu kamiennego
Serce zbudzi się

I na nowo znajdzie
Życia smak i zechce
Żyć aby kamieniem
Nie stać się już więcej

WYRÓŻNIENIE

Wiktor Forycki

godło: Husar

.....

„WARTO...?”

W szklance bez dna, w dzbanku bez ucha,
Milion wciąż słów lecz nikt nie słucha,
Nie mówi, nie myśli, nie prosi, nie pyta,
Nikt nie pożegna, nikt nie przywita,
Nic nie należesz, nic tam nie schowasz,
Myślisz, że możesz... możesz spróbować.
W szklance bez dna w dzbanku bez ucha,
Nie tylko cisza bywa głucha,
Nie tylko pustka, straszy pustotą,
Nie tylko ciemność przeraża ciemnotą,
Nie tylko wyjścia myśli szukają,
Nie tylko one tutaj bywają,
Choć nic nie należesz i nic nie uniesiesz
A najpierw pomyślisz nim się ucieszysz,
To wiesz, że taka jest kolej rzeczy,
Nie powiesz nie, nikt nie zaprzeczy,
Czy warto... myślisz, było lub będzie?
Zatrzymaj czas może przybędzie,
Ucho od dzbanka i to dno do szklanki,
Lecz teraz bierzemy się z życiem w szranki,
Wiara, nadzieja - siostry rodzone,
Mocą ich siły wiele stworzone,
Zadaj pytanie, dobrze odpowiedz,
Leżysz czy wstajesz... ?
One gotowe!

„LADY”

Wiele mówiono już o tej damie,
Pisano, śpiewano, peany tworzone,
Stawiano pytania, brnięto w odpowiedzi,
Jej poczynania wielu z nas dziś śledzi,
Brak jej doskwiera, a człowiek więdnie,
Jej byt o cierpieniu mówi prosto ...– będzie,
Małe lub duże, lecz jej słodycz większa,
Bo ponad wszystko jest najpiękniejsza.
Dama dostojna, kunsztowna, ponętna,
Uwodzicielka wprawiona, namiętna,
Choć raz cię trąci rąbkiem kunsztu swego
Przepadłeś z kretelem mój drogi kolego,
Być albo nie być – Szekspir by powiedział,
Lecz chyba wtedy wszystkiego nie wiedział,
Bo dama ta nigdy nie pyta o zdanie,
Robi jak zechce i tak też się stanie,
Trzpiotka z niej bywa, frywolna, ulotna,
Zmienna, czasami też bezpowrotna,
Bywa że gonisz ją, wyczekujesz,
Bywa, że złapiesz i wszystko zrujnujesz,
Jej nie przewidzisz, w czas nie ubierzesz
Na zapas nie weźmiesz i nie zabierzesz,
Czasami dłońmi chciałbyś jej nabrać,
Przez palce przecieka, nie możesz zabrać.
Gonisz czy czekasz, prosisz czy żądasz,
Jak każdy z nas mocno pożądasz,
Nic nie zaradzisz, kapryśna dama,
Miłości doznasz gdy zechce sama.

PROZA

2005-2008

I MIEJSCE

Natalia Cyrkowicz

godło: Ancymonek

„Wirgilla”

Pamiętam to, jakby to było wczoraj, szłam białym korytarzem, upadłam, ciemność, obudziłam się w obcym miejscu, z zupełnie obcymi ludźmi, nie znałam ich, lecz cieszyłam się, że przynajmniej jest tu ktoś tej samej rasy co ja. Wspomnienia zostały mi odebrane. Czułam się jakbym dopiero co przyszła na ten świat, lub jakby ktoś magiczną mocą wyczyścił moją pamięć. Niewiele pamiętam z poprzedniego życia, tak właściwie to nic nie pamiętam, lecz mimo wszystko jestem pewna, że istniało, jestem pewna, że już kiedyś żyłam. Jestem pewna, że już kiedyś widziałam tą niewysoką, drobnej budowy, brunetkę o niebieskich oczach, co codziennie ukazuje się mi w lustrze. Nie mam żadnych dowodów, lecz chociaż ta małeńka cząstka mnie, zawsze będzie wiedziała, że to nie moje pierwsze spotkanie ze światem.

Lubię wyobrażać sobie moje stare życie, duży dom, kochająca rodzina, zero zmartwień, lecz zawsze w tych błogich chwilach moje rozmyślanie przerywa on, Senex, trochę przygłuchy, niewysoki, siwowłosy, pomarszczony staruszek o oczach szarych jak księżyc potocznie nazywany Papcio, był tutaj pierwszy i jako jedyny pamięta poprzednie życie, to właśnie on utwierdza mnie w przekonaniu, iż żyjemy po raz drugi. Zawsze mówi to samo „Ari, wiesz dobrze, że nie wrócimy, daj spokój, teraz tu jest twój dom”.

Ludzie podzielili się na dwie grupy, jedni uznają Senexa za wariata, a inni czekają aż opowie im coś więcej o swoich wspomnieniach, lecz starzec niechętnie opowiada o przeszłości, gdy ktokolwiek próbuje się czegoś dowiedzieć, od razu zmienia temat. Żyjemy w miejscu dość ekologicznym, najważniejszym elementem jest Wirgilla, czyli ogromny soliterowy dąb, o pniu złotym jak wypolerowany naszyjnik ze szczerogo złota. Jego liście zmieniają kolor zależnie od pory roku, aktualnie mamy koniec jesieni, więc ogromne liście jeszcze mienią się na wszystkie odcienie czerwieni i pomarańcza. Wiosną uwielbiam przesiadywać całymi dniami na małej ławeczce obok niej, liście są wtedy tak hipnotyzująco srebrne.

Całe nasze życie opiera się głównie na tej potężnej roślinie, bez niej by nas nie było. Można by ją porównać do takiego wielkiego respiratora. Wirgilla jest jedynym przejawem przyrody na naszej planecie, więc bez niej bylibyśmy martwi. Jesteśmy w małym miejscu, a nas jest tylko piętnaścioro, więc tlenu starczy bez problemu.

Wkrótce jednak nasz koszmar, a może nasz błogi sen ma dobiec końca. Szesnaście lat, pięć miesięcy i cztery dni po przybyciu do tego chorego miejsca Papcia, przybędzie wybraniec, przynajmniej tak mówi „Księga nowego świata”, ja osobiście w to nie wierzę,

lecz znaczna część osób przynajmniej próbuje uwierzyć. Według mnie utknęliśmy tu na zawsze i nie ma już dla nas ratunku. Może i myślę dość pesymistycznie, lub raczej realistycznie, ale wole to niż okłamywać samą siebie. Pogodziłam się już nawet z tym, że zostaniemy tu na wieki.

Nie tęsknię za tamtym życiem, bo mimo wszystko ciężko kochać coś czego się nie pamięta, coś wyciętego z pamięci. Owszem czuję pustkę, lecz wiem, że nigdy już tam nie wrócimy, nie możemy być nawet pewni czy jest gdzie wracać. Papcio przecież też ma swoje lata i mogą mu się już mylić niektóre rzeczy. Zresztą jeżeli mamy się stąd wydostać, to niech przeznaczenie o tym po prostu zdecydować. Chciałabym znaleźć się w domu, chociażby z czystej ciekawości, lecz tutaj też mi się podoba. Mamy wszystko czego nam potrzeba. Jedzenie, picie, tlen, przyjaciół, dom, pracę i nawet trochę wolnego czasu. Czego chcieć więcej? No właśnie, niczego.

Aktualnie jestem najmłodszą osobą ze wszystkich 15 osób, mam zaledwie 14 lat, liczonych od mojego przybycia tutaj i jestem jedną wielką zagadką. Od mojego pojawienia się nikt więcej nie przyleciał. Ludzie często się mnie boją, uważają mnie za jakiś zły omen, co jest totalnie zwariowane, przecież nie miałam wpływu na to, że algorytm świata wybrał aby uprowadzić jako ostatnią akurat mnie.

Gdy wstałam dzisiaj rano Senex czekał na mnie przy stole z gotowym śniadaniem. Pospiesznie zjadłam naturalną owsiankę, wykonaną z tajnej receptury Papcia i pobiegłam do pracy, zresztą jak co dzień. Musiałam sprawdzić wszystkie 242 rury, które doprowadzają wodę prosto do korzeni Wirgilli, a po pracy wzięłam moją jedyną książkę „Tajemniczy Ogród” i zaczęłam czytać mój ulubiony fragment, który zawsze daje mi nadzieję na lepsze jutro. „Początkowo ludzie nie chcą uwierzyć, że można dokonać czegoś nowego, później zaczynają ufać, że można tego dokonać, później widzą, że się już dokonuje, a gdy odkrycie jest dokonane, ludzkość dziwi się, że nie zrobiono już tego przed wiekami”.

Co jeżeli my też kiedyś dokonamy czegoś „niemożliwego”? Co jeżeli wrócimy? Jak odnajdziemy się w obcym miejscu, być może wcale nie podobnym do naszego? Jak przeżyjemy bez siebie nawzajem? Czy będziemy o sobie pamiętać? Czy w ogóle będziemy pamiętać ten świat? Czy znowu doświadczymy tego dziwnego rodzaju amnezji? Miałam wiele pytań, lecz nikt nie mógł mi udzielić na nie odpowiedzi, nawet Senex. On nawet gdyby wiedział i tak ukrywałby prawdę, zrobiłby wszystko bylebyśmy nie znali prawdy, czasami wydaje mi się, iż on ją zna, jednak chce nas przed nią chronić. Ale dlaczego? Czyżby była ona aż tak przerażająca? Czyżby w naszych rękach mogła doprowadzić do tragedii? Jak zwykle w takich chwilach do mojego pokoju wszedł Papcio, wołając mnie na obiad. Jednak oboje wiedzieliśmy, że zrobił to tylko dlatego aby przerwać mi moje rozmyślenia, które uważa za stratę czasu.

Na obiad była zupa z liści Wirgilli, czyli to co zawsze. Potem znowu usiadłam w swoim malutkim domku na poddaszu, tyle że tym razem bez książki. Po prostu

w błogiej ciszy na zewnątrz i hałasie myśli w środku wpatrywałam się w lekko czerwone niebo. Czułam się jak w zatłoczonym pokoju bez drogi ucieczki, każdy krzyczy o czymś innym, każdy ma swoją teorię, tyle że to po prostu ja byłam niezdecydowana w co wierzę, cały pokój to po prostu mój wymęczony umysł. Nie możemy się przemieszczać i odkrywać nowych miejsc, w tej ciasnej klatce, jaką jest „nowy świat”, ponieważ nie ważne którędy pójdziemy, będziemy szli i szli coraz dalej w głąb niekończącego się lasu. Mimo wszystko nikt nie może zabronić nam podróży w głąb swojego wnętrza, to właśnie za to kocham myśli, to właśnie za to kocham wyobraźnię, dzięki niej możemy się znaleźć w dowolnym miejscu i o wybranym czasie, nie ruszając się z miejsca.

Kiedy myślałam o sensie naszego życia, odkryłam coś czego nie powinnam wiedzieć, a może Papcio chciał żeby to odkryła? Śmierć, śmierć, śmierć, co jeżeli ona istnieje nie tylko w książkach? Co jeżeli za niedługo odbierze nam kogoś? Czy nie powinniśmy zacząć bardziej uważać? Zaczęłam zastanawiać się ile prawdziwych lat ma Senex, skoro niedawno obchodził 73 rocznicę przybycia, musi mieć ich dość wiele... Co jeżeli pewnego dnia nam go zabraknie? Do tej pory koniec był mi obcy, lecz to mylne uczucie, że będzie się żyć zawsze, przychodzić będzie do mnie coraz rzadziej. Będę myśleć tak tylko kiedy będę sama, sama pośród moich czterech ścian i spojrzę przez małe okienko na czerwień zachodzącego słońca, tylko wtedy będzie mi się zdawać, że końca nie ma i nie będzie.

Czy to jest to przed czym Papcio nas chronił? Wcale nie pragnęłam tego wiedzieć, chciałam wymazać to z pamięci, lecz było już za późno, nie mogłam nic zrobić. Myślałam wtedy, że szczęście się już dla mnie skończyło, poznałam ukrytą prawdę przed, którą Senex tak bardzo pragnął nas chronić. A może wcale nie... Może wcale nie chciał mnie przed nią chronić, może on właśnie dążył do tego abym sama to odkryła? To przecież od niego dostałam moją jedyną książkę. Może on marzył o tym, abym zorientowała się po jakimś czasie jak wielkie niebezpieczeństwo nam zagraża? Nie, to niedorzeczne – próbowałam sama się skarcić w myślach, lecz niezbyt mi to wychodziło, byłam w zbyt wielkim szoku. Nie wiedziałam nawet czy powinnam powiedzieć Papciowi o swoim olśnieniu, przecież nie byłam niczego pewna na 100%, może jestem po prostu zbyt zdesperowana i łatwowierna?

Tego dnia miałam już zdecydowanie dość marzyłam aby się po prostu położyć i zasnąć. Leżałam w łóżku, użalając się sama nad sobą, oraz otaczającym mnie światem. Byłam przerażona każdym kolejnym dniem, każdą kolejną mijającą godziną, minutą, sekundą. Chciałam tylko dwóch wykluczających się rzeczy, pragnęłam tylko spać, oraz nie marnować ani sekundy cennego czasu. Musiałam więc podjąć decyzję, ostatecznie padło na monotonię życia codziennego i sen tylko w wyznaczonych do tego chwilach.

Mijały dni, aż nadszedł ważny moment, w którym postanowiłam powiedzieć o swoim odkryciu Senexowi, nie było to łatwe, ponieważ pracował on praktycznie cały

czas, lecz po kilku nie udanych podejściach udało mi się go dorwać.

- Powiesz mi prawdę? - na początku wołałam spytać.

- Ależ skarbie, jaką prawdę? Przecież ją znasz – powiedział z fałszywym uśmiechem.

- Czy my..., no wiesz..., czy my umrzemy? Wiesz ty, ja, oni – powiedziałam wskazując palcem po wszystkich, spokojnie pracujących, nie znających zagrożenia osobach wokół nas. - Zawsze wiedziałem, że jesteś mądrą dziewczynką,

Ari – powiedział z tajemniczym jak i niepokojącym uśmiechem na twarzy, powoli robiąc małe kroki w tył.

Zanim doszło do mnie to co powiedział, starzec zdążył się już oddalić. Czyli jednak to prawda? Czyli nawet tutaj istnieje śmierć? Czyli nawet w tym zagmatwanym świecie nie jesteśmy bezpieczni? Ogarnęło mnie nagle przerażenie, ogarnął mnie jakiś niewytłumaczalny paniczny strach. Mimo, iż została mi jeszcze co najmniej godzina pracy, nie miałam zupełnie żadnej ochoty przebywać z tymi wszystkimi szczęśliwymi osobami, chciałam się po prostu obudzić z tego piekielnego koszmaru.

Kolejne dni przeleżałam w łóżku z udawaną „grypą”, aczkolwiek wiedziałam, że Senex mi nie wierzył. Godził się na ten cały mój cyrk, bo wiedział co czuję, on czuł to samo, lecz nie mógł sobie pozwolić na mazgajenie się w poduszkę, nie mógł, ma za dużo obowiązków, to tylko dzięki niemu żyjemy. Ludzie by zauważyli, ludzie by plotkowali, a po co to wszystko? To nam jest w zupełności niepotrzebne.

Ja również wołałabym żyć w niewiedzy jak oni. Wołałabym teraz szczęśliwie siedzieć nad strumykiem, patrząc na piękne zachodzące niebo. Wołałabym chodzić normalnie do pracy, jeść, pić, czytać, po prostu żyć, żyć swoją starą rutyną dnia, lecz niestety nie jest mi to dane, nie jest mi dane żyć w spokoju ducha. Chciałam zapomnieć, chciałam dostać takiej samej amnezji, jak w dniu mojego przyjazdu tutaj. Nie chciałam bać się każdej godziny, każdej minuty, a nawet sekundy. Niczego tak bardzo nie pragnęłam jak zapomnieć...

Sama nie wiem nawet kiedy usnęłam, ale nie spałam długo, obudził mnie cichy szept Papcia. Podał mi rękę i pomógł wstać z twardego materaca w moim małym pokoju. Nic nie widziałam było zbyt ciemno, czułam jedynie zimną ziemię pod stopami i chłodny wiatr na nagich ramionach. Byliśmy na zewnątrz. Tylko po co mielibyśmy niby iść gdzieś w mroźną noc? Szliśmy dosyć krótko, może 3 minuty. W pewnym momencie potknęłam się o wystający z ziemi patyk, a może raczej korzeń Wirgili? To właśnie wtedy zorientowałam się gdzie jesteśmy. Byliśmy przy jedynym drzewie w całej krainie. Nadal jednak pozostawało pytanie, po co? Zrobiło się jaśniej, latarnie ustawione naokoło rośliny oświeślały teraz już bardzo dobrze drogę. Kiedy doszliśmy do samego środka drzewa zrozumiałam, co kierowało Senexem kiedy postanowił, że zaprowadzi mnie tutaj. To co ujrzałam napędziło mi strachu już wystarczająco dużo, lecz kiedy zrozumiałam co to oznacza przeraziłam się jeszcze bardziej. Przede mną stała cała ściana szarych, uschniętych korzeni. Jedyna roślina na naszej planecie,

która jest w stanie nas utrzymać przy życiu wędnie na moich oczach, a ja nie wiem co mogę z tym zrobić.

- Czy już teraz wiesz, Ari, co chcę Ci przekazać? - powiedział tak spokojnym głosem jakby zupełnie nic nadzwyczajnego się nie działo.

- Musimy coś zrobić! Jak ty możesz tak po prostu tu stać!? Czy wiesz co to oznacza!?! - byłam zbyt zirytowana, aby myśleć logicznie.

- Obliczyłem, że zanim uschnie całkowicie, powinien przybyć wybraniec... - Jaki znowu wybraniec!?! Nie rozumiesz, że żadnego wybrańca nie ma i nie będzie!?! Nigdy! - warknęłam, przerywając mu w pół zdania, po czym po prostu stamtąd uciekałam. Nie mogłam wrócić do domu, nie chciałam tam wracać. Skorzystałam zatem z dość ciepłej temperatury jak na zimę i położyłam się na brudnej ziemi, obok strumyka, oczami patrząc w ciemne niebo. Nie potrafiłam usnąć więc robiłam coś gorszego, myślałam o tej całej zaistniałej sytuacji, a jak leży się beczynnym w nocy, myślami można zajść bardzo daleko, w bardzo dziwne strony. Wiedziałam, że muszę się wziąć w garść. Mój płacz po prostu niczego nie zmieni.

Rankiem zrozumiałam jak beznadziejnie się zachowałam, nie powinnam stamtąd uciekać, powinnam zostać i wysłuchać Senexa do końca. Byłam na niego zła, lecz nie mogłam w nieskończoność uciekać od problemów, musiałam stawić im czoła. Jednak mimo wszystko jest to człowiek dzięki, któremu żyje, to on uratował mnie, zagubioną w całkowicie nowym dla mnie świecie. Bez niego bym po prostu nie istniała.

Wróciłam do domu, Papcio aktualnie kończył jeść śniadanie.

- Kto to wrócił? Zimno panience było? - powiedział uradowanym głosem i z wielkim uśmiechem na twarzy.

- Co tu się dzieje? Możesz mi to jakoś racjonalnie wytłumaczyć?

- Ari, przecież wiesz, że tu nie da się zupełnie nic racjonalnie wytłumaczyć. Sam nie wiem, co się dzieje z Wirgillą. Nie dość, że usycha od korzeni, to jeszcze przestała zmieniać liście. Nie zauważyłaś, że mają ciągle jesienny kolor?

- Muszę już iść... - wymamrotałam pod nosem i udałam się do swojego pokoju. Czułam jak nagle wszystko w brzuchu mi się przewraca. No tak, zupełnie nie zwróciłam uwagi na liście tej cudownej rośliny. Zrobiło mi się jakoś tak słabo.

Nagle usłyszałam przeraźliwy, ogłuszający huk, w pokoju rozbłysło rażące, czerwone światło, odruchowo zmrużyłam oczy. Gdy wszystko znów powróciło do normy, rzuciłam się pędem do drzwi, i pobiegłam pod drzewo. Jednak... Nic nadzwyczajnego tam nie było. Zajrzałam do korzeni, tam też nic.

Wyszłam i w tym oto momencie zobaczyłam ją, śliczną malutką dziewczynkę, o pięknych długich blond lokach i szmaragdowych oczach. Na około tej piękności zebrał się już cały tłum ludzi. Mała już podporządkowała ich pod swoje dyktando. Starczyło, że zapłacze, a dosłownie każdy podbiegał i nieomalże przepisywał na nią cały swój dobytek życia. Dali jej nawet imię, Mirantibus, w skrócie Miri.

Ja bym tak nazwała jakiegos potwora spod łóżka, a nie małą dziewczynkę, ale jak

tam sobie chcą.

Oni po prostu oszaleli na jej punkcie, wszyscy natychmiast oderwali się od pracy i zaczęli klócić o to, kto zajmie się małą. Ustalili wspólnie, że na razie zatają jej istnienie przed Senexem, ponieważ jak twierdzą, przywłaszczy on ją sobie. Byłam jedyną osobą, której urok Miri nie porywał. Właściwie to jej los był mi zupełnie obojętny. Kiedy myślałam o tym, co tych wszystkich ludzi tak w niej zachwyca, rozumiałam jedną rzecz, *Mirantibus* jest wybrańcem.

Nie chciałam wierzyć na początku w to wszystko, ale potem po prostu musiałam przyjąć to za prawdę, wszystkie elementy układanki się łączyły. Jedna rzecz mimo wszystko nie dawała mi spokoju, co takie małe dziecko ma niby zrobić? Przecież ona ledwo co umie sama chodzić! Zanim bardziej zacznie rozumieć otaczający ją świat miną tygodnie, a może i nawet miesiące. My nie możemy przecież tyle czekać! Drzewo zdąży do tego czasu już zupełnie uschnąć. Co wtedy zrobimy? Jak przeżyjemy bez tlenu? To przecież niemożliwe! Miri przecież nawet gdyby bardzo chciała, aktualnie nic nie może zdziałać, ona nawet nie zejdzie po schodach do środka *Wirgilli*! Nie tego się spodziewałam po wybrańcu. Wyobrażałam sobie wysokiego dobrze zbudowanego mężczyznę, a mam co? Niziutką, chudą, małą dziewczynkę. Byłam załamana, to miała być nasza ostatnia deska ratunku. Szansa stracona, nigdy się stąd nie uwolnimy!

Popatrzyłam jeszcze kilka minut smutnym wzrokiem na dziewczynkę, po czym odeszłam powolnym krokiem w stronę domu. Zjadłam z *Papciem* obiad w milczeniu, po czym każde z nas udało się w inną stronę. Ja poszłam się do swojego pokoju, aby usiąść przy małym okienku, jednym okiem czytając „*Tajemniczy ogród*”, a drugim natomiast oglądać krwistoczerwony zachód słońca.

Otworzyłam książkę na pierwszej stronie i czytałam, aż noc nie zamknęła mi oczu, wbrew mojej woli.

Rano, gdy się obudziłam książka leżała na podłodze, a nad nią stał Senex z kubkiem gorącego wywaru uspokajającego, oczywiście zrobionego z ususzonych liści *Wirgilli*.

- Proszę, napij się – powiedział podając mi kubek. - Powinno Ci choć trochę pomóc. - Dzięki – mruknęłam pod nosem, podnosząc książkę.

Wzrokiem odprowadziłam go do drzwi, a gdy tylko wyszedł napiłam się łyka gorzkiego napoju. Może i był trochę niedobry, ale za to działał w tempie ekspresowym. Już po kilku minutach poczułam powolny przypływ opanowania emocjonalnego, jak i odprężenia. Sięgnęłam po czarny golf i moje ulubione beżowe spodnie, po czym poszłam się przebrać do łazienki. Następnie zeszłam na dół, aby zjeść przygotowane przez *Papcia* śniadanie. Po jedzeniu wyszłam z domu i udałam się do pracy, gdzie spodziewałam się spotkać inne żywe dusze, lecz niestety tak się nie stało.

Już odkąd wyszłam z domu czułam, że jest coś nie tak, lecz nie wiedziałam co. Teraz wiem, było zbyt cicho. Dawne krzyki, śmiechy i zabawy zamieniły się w głuchą ciszę. Jedyne odgłosy jakie było słychać to od czasu do czasu głośny płacz Miri i dźwięk

uderzania butów o drewniany podest przed domkami.

Ludzie zupełnie przestali przejmować się pracą, na rzecz Mirantibus. Jedyna osoba, którą spotkałam to Sekreta, wysoka, cicha i wrażliwa dziewczyna o krótkich brązowych włosach. Nie miałam niestety okazji z nią porozmawiać, ponieważ przebiegła obok mnie z prędkością światła, nawet się nie witając. Nie zdziwiło mnie to zbyt, ponieważ teraz oczkiem w głowie wszystkich na około nie jest Wirgilla, tylko ta mała, niepotrzebna dziewczynka, pełniąca rolę wybrańca.

Teraz stałam zupełnie sama przed rozprzestrzeniającą się z zawrotną szybkością czarną plamą uschniętych korzeni. Miałam nadzieję, że jak wreszcie reszta osób pojawi się w pracy pomogą mi z nawadnianiem rośliny. Z przykrością stwierdzam, iż tak się nie stało. Nikt, zupełnie nikt nie raczył tego dnia przyjść do pracy. Cały dzień nosiłam ciężkie butle z wodą, po to aby oni mogli żyć w dostatku, a mimo tego obumarłe miejsce rośliny powiększało się coraz szybciej i bardziej. Wiedziałam, że Senex przyrządza jakąś miksturę, aby spowolnić cały ten proces, jednak zbyt długo mu to zajmowało.

Późnym wieczorem, kiedy wróciłam do domu, przy stole zastałam uradowanego Pappia, który trzymał jakąś dziwną zieloną miksturę w ręku.

- Ari! Mamy to! Udało się! Dopóki nie przybędzie wybrańiec, to powinno wystarczyć! - Em, muszę Ci coś powiedzieć... - powiedziałam cichutkim głosem, zastanawiając się, czy aby na pewno chcę zdradzać tajemnicę Mirantibus. W końcu jednak stwierdziłam, że tak będzie dla wszystkich lepiej. - Wybrańiec chyba już tu jest...

- Co? Ale jak to? Zabierz mnie do niego, muszę z nim koniecznie porozmawiać! - Obawiam się, że to niestety nie będzie do końca możliwe – mruknęłam jak najciszej. - Co ty tam szepczesz? Mówże do swojego staruszka trochę głośniej.

Wzięłam go za rękę i zaprowadziłam do domu Sekretu, do domu, z którego wydobywały się piekielne krzyki i płacze. Otworzyłam powoli drzwi, na małym, białym dywaniku siedziała właścicielka mieszkania wraz z Miri, bawiącą się jej włosami. Starzec pokiwał głową ze zrozumieniem i spojrzał na mnie.

- Ari, proszę zostaw nas samych. Możesz iść do domu po miksturę i podać ją Wirgille, a potem nie wiem, może coś poczytasz?

- Tak, jasne – powiedziałam najbardziej optymistycznym tonem na jaki mogłam się w tej chwili zdobyć.

Posłusznie wykonałam jego polecenie, podlałam roślinę, a następnie zaczęłam pilnie studiować tekst. Nie robiłam tego jednak zbyt długo, ponieważ sen sam zamykał mi powieki, a ja się poddałam.

Mijały dni, mijały noce, lecz nadal nikt nie interesował się zdrowiem drzewa, każdy miał w głowie tylko „Mirantibus, oj malutka, chodź Miri” i nic więcej.

Z dnia na dzień było coraz gorzej. Pappio nie wychodził z pokoju od czasu poznania naszego wybrańca, poddał się. Drzewo było już praktycznie całe czarne, wtedy i

ja straciłam dosłownie wszystkie nadzieje. Wcześniej potrafiłam całe dni spędzać na ratowaniu Wirgili, ale teraz widzę, że było to bezsensowne. Mały potwór, zwany również wybrańcem, zauroczył praktycznie wszystkich, sprowadził na nas nieszczęście, oraz śmierć. Ludzie zupełnie zapomnieli o pracy. Nikt nie przejmował się dalszym losem naszego świata. Miri nas niszczyła. Każdy był zbyt zajęty nią, aby pracować, aby poświęcić chociaż kilka minut swego cennego czasu na próbę ocalenia drzewa.

Powoli odchodziliśmy, coraz ciężiej się oddychało, a roślina chwiała się z dnia na dzień coraz bardziej. Czułam się winna, mogłam przecież coś zrobić, na przykład zabrać i ukryć gdzieś *Mirantibus*. Martwiłam się o każdy kolejny dzień, ponieważ nie potrafiłam dokładnie wyliczyć kiedy nastąpi koniec, mogłam jedynie oszacować, że stanie się to za jakiś tydzień, myśląc optymistycznie dwa tygodnie maksymalnie. Co potem? Co się z nami stanie? Gdzie trafimy? Te trzy pytania nie dawały mi spokoju przez ostatnie dni. Zastanawiałam się nad każdym możliwym wyjściem i rozwiązaniem.

Nic szczególnego nie przychodziło mi na myśl, jedynie jakieś pojedyncze drobne myśli „A co gdyby...”, nie miałam pomysłu na żaden inny ratunek, niż po prostu cieszyć się każdym dniem i żyć do tego czasu z godnością.

Kolejny tydzień przesiedziałam pod drzewem z książką, chciałam przeczytać ją każdego dnia na nowo. Chciałam pogrążyć się w lekturze i nie myśleć o niczym innym niż zagadce tajemniczego ogrodu. Czułam jednak, iż zbliża się finał naszej egzystencji, czułam to w powietrzu, a może i w jego braku...? Chodziłam jak zombie, sine usta, blada, zimna cera, to po prostu idealny opis typowego zmarłego.

Obudziłam się pewnego dnia i wiedziałam, że to będzie dzień ostateczny, ale nie płakałam. Powolnym krokiem poszłam pod drzewo i przytuliłam się do jego pnia. Odsunęłam się kilka metrów i usiadłam na ławce.

Tego dnia nie zwracałam nawet uwagi na ludzi, którzy bawili się z Miri, było mi to już obojętne. Gdy stajesz się bezduszny, lodowaty, to po prostu wszystko jakoś tak samo się układa, czujesz się jakby twoje życie leciało po prostu razem z wiatrem. Z każdą kolejną sekundą drzewo było coraz bardziej niestabilne, było coraz bliżej całkowitego zawalenia. Gdy wisiało już dosłownie „na jednym włosku” zamknęłam oczy, nabrałam resztek powietrza i usłyszałam donośny huk. Domyśliłam się, że to drzewo. Starałam się jak najdłużej wytrzymać bez oddychania, lecz w końcu musiałam zrobić ten jeden piekielny wydech. Odetchnęłam, dusząc się powoli, położyłam moją jedyną książkę na swoim sercu i zasnęłam.

To naprawdę nie bolało, było jedynie trochę nieprzyjemne. Wszystkie moje zmysły się wyłączyły, jednak nadal byłam świadoma, nadal mogłam myśleć. Tego się nie spodziewałam, czułam jakbym znajdowała się w ciemnym pomieszczeniu, bez tlenu i mebli. Z jednej strony nie oddychałam, lecz z drugiej nawet nie czułam bólu. Dziwne doświadczenie... Umierać, ale na jawie... Nie mogłam się odezwać, próbowałam, lecz żaden dźwięk się ze mnie nie wydobywał. Nie czułam, nie słyszałam, ani nie widziałam zupełnie nic, mogłam tylko myśleć i nic więcej. Po kilku, kilkunastu, a

może i kilkudziesięciu minutach zaczęłam się naprawdę bać.

Wciąż do mnie nie dochodziło, że już nigdy nie będzie mi dane spojrzeć na świat. Drzewo upadło, a to oznacza koniec, bez dyskusji. Czułam się jakby mijały wieki, a tak naprawdę nie minęło nawet 5 godzin.

W końcu powoli zaczęłam odzyskiwać zmysły, lecz słuch na niewiele mi się zdał, bo słyszałam tylko jakieś ciche niezrozumiałe szepty. Wzrok natomiast wracał bardzo słabo, nie mogłam odkleić od siebie powiek. Czułam się jakby ktoś skleił je specjalnym klejem. Trochę to trwało, zanim zaczęłam słyszeć wyraźniejsze głosy.

- Walczy, ale nie wiem co z tego będzie... Musimy ją odpiąć... - powiedział grubym tonem, jakiś obcy mi mężczyzna.

- Nie, proszę, dajcie jej jeszcze tydzień! - krzyczała przez łyzy, drobniutkim głosem jakaś kobieta, której również nie znałam.

Na dalszej części rozmowy się nie skupiałam, byłam zbyt zdumiona tym, że znowu zaczynam coś widzieć. Coraz wyraźniej, aż w końcu wyraźnie widziałam wszystko na około. Byłam sama w małym, białym pokoju, zaopatrzonym w jedno maleńkie okienko. Obok mnie stał wysoki, przezroczysty wazonik z drobniutkimi, białymi kwiatuśkami. Zostałam przemocowana, przez jakiś kabel do dziwnego urządzenia, które nagle zaczęło powoli pikać. W pokoju pojawiły się 3 osoby. Starsza kobieta rozplakała się i złapała mnie za rękę, natomiast młodszy od niej mężczyzna, w białym fartuchu schylił się i nie wypowiadając zupełnie żadnego słowa zaczął mnie badać. W pokoju stał również siwowłosy staruszek, nie odzywał się, ale w jego oczach było widać tańczące iskierki radości.

- Co się stało? - wypowiedziałam dziwnym głosem, zupełnie go nie poznałam. - Skarbie, jesteś tutaj... Po prawie 15 latach śpiączki wygrałaś tę walkę - powiedziała łamliwym głosem kobieta. - Myślałam, że Ci się nie uda, ale ty zawsze mnie zaskakujesz Mia. Jaka Mia? Przecież nazywam się Ari, prawda? Teraz nie wiedziałam już nic. O jaką śpiączkę im chodzi, przecież ja dopiero teraz umarłam, chociaż sama nie wiedziałam czy to śmierć, czy może początek czegoś zupełnie innego, czegoś nowego.

Bałam się, ponieważ jeżeli to jest moje prawdziwe życie, to co się stało zresztą osób? Też trafili do takich miejsc? Musiałam ich odnaleźć! Kiedy Papcio powiedział mi, że nie wszystko w co wierzymy jest prawdą, nie zrozumiałam o co mu chodzi, lecz teraz już chyba wiem...

II MIEJSCE

Estera Malatyńska

godło: Szczupak

„Pan Wróblewski”

Każde miejsce miało swoją legendę. Czasami brała się ona od przodków, którzy tłumaczyli różne zjawiska historiami, a niekiedy została wymyślona na potrzebę turystyki. Były one czymś bardzo lubianym w społeczeństwie. Dzieci uwielbiały ich słuchać, dorośli opowiadać, a młodzi ludzie straszyć się nimi. Jednym z miejsc, które lubiło je szczególnie, było niewielkie miasteczko położone na północy krainy. Miało ono swoją, szczególną legendę.

Trudno powiedzieć, z jakiego powodu ta legenda powstała. Jedni powiedzieliby, że dla zysku, a inni, że nie ma ona celu i została wymyślona dawno temu. Jakiegokolwiek by historii nie miała, cieszyła się dużą popularnością. W „Miejskim Dzienniku” artykuły na jej temat pojawiały się niemalże codziennie. Nie była to legenda typowa, ponieważ dotyczyła tajemniczej ulicy. Uważano, że gdzieś w tym szarym mieście mieści się miejsce, którego położenia nikt nie znał. Nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, dlaczego miejsce było ukryte, ale prawie każdy w nie wierzył. Istnienie tajemniczej przestrzeni zostało potwierdzone przez samego prezydenta miasta, choć i on nie potrafił określić jego położenia.

Było kilku, którym ponoć udało się odnaleźć Ulicę, a nawet z niej wrócić. Tacy ludzie zazwyczaj kończyli swoje życie, popełniając samobójstwo, bądź umieszczano ich w zakładach psychiatrycznych. Znaleźli się również tacy, którzy tak bardzo bali się nieznanego miejsca, że wypierali jego istnienie. Do takich ludzi należał pan Wróblewski. Uważał się on za realistę, który nie wierzy w takie bajki. Mężczyzna twierdził, że znający położenie Ulicy to szaleńcy. Swoją tezę popierał argumentem, że często wykrywano u nich ciężkie choroby psychiczne.

Wróblewski wykładał historię muzyki na Akademii Muzycznej. Nie podobały mu się nowoczesne sposoby nauczania, które pochwalał dyrektor i studenci. W pracy nikt go nie lubił. W normalnym miejscu zostałby zwolniony, lecz tutaj jego obecność nikogo nie dziwiła. Mężczyzna sądził, że prawdziwa muzyka to taka, która została stworzona wedle klasycznych wzorów. Chodziło mu o zasady, na których podstawie komponowali najbardziej znani muzycy ubiegłych wieków. Nie pochwalał muzyki współczesnej, choć w mieście była to dość rzadka opinia. Oprócz tego, że słynęło ono z legendy o Ulicy, dużo mówiło się w nim o muzyce eksperymentalnej, która szybko się rozwijała.

Muzykolog był człowiekiem niezwykle nudnym. Uwielbiał systematyczność i powtarzalność nie tylko w muzyce, ale w całym życiu. Codzienna rutyna tego

człowieka przedstawiała się w sposób następujący: wstawał o godzinie szóstej, żeby zdążyć wypić kawę przed pracą. Chodził zawsze tymi samymi ulicami. Znał je na tyle dobrze, że potrafiłby przejść tę trasę z zamkniętymi oczami. Po wykładach, które każdego dnia kończył o tej samej godzinie, powoli kierował się do domu. Po drodze wchodził do kiosku, gdzie kupował czasopismo. Czytał jedynie pierwszy artykuł, ponieważ nie przepadał za tą gazetą, ale wypadało mu chociaż do niej zajrzeć. Następnie pił kolejną kawę, którą kupował w kawiarni obok kiosku. W końcu, mijając kilka przecznic, dochodził do domu.

Pewnego szarego popołudnia wszystko wyglądało tak jak zazwyczaj. Minął wysokie kamienice, które przez swoją krzywość tworzyły klosz nad chodnikami. Kupił gazetę, a następnie wstąpił do kawiarni. Wychodząc z niej, przyjrzał się nagłówkowi czasopisma, trzymanego w ręku. Wielki napis mówił „Dziś kolejne zniknięcie poszukiwacza Ulicy”. Na ten widok Wróblewski prychnął i włożył gazetę do torby. W zamyśleniu, jaki sens ma szukanie czegoś co nie istnieje, minął kilka przecznic. Nagle coś dziwnego wyrwało go z zadumy. Jego porządek dnia został zburzony, bo oto na miejscu grupy ulicznych muzyków stał nieznany mu skrzypek. Co prawda Wróblewski nie przepadał za muzyką jaką wykonywali ludzie, którzy zazwyczaj tam stali, ale jeszcze bardziej nie lubił nagłych zmian. Mimo wszystko postanowił przyjrzeć się muzykowi, bo było w nim coś, co intrygowało muzykologa. Grający wydawał się młody, ale liczna ilość zmarszczek temu przeczyła. Stał nieruchomo, lecz Wróblewski nie potrafił określić, w jakiej pozycji się znajduje. Jedno muzykolog mógł stwierdzić - grał niesamowicie. Muzyka, która wydobywała się z instrumentu, przypominała kompozycje tworzone przez ulubionych artystów mężczyzny, ale miała w sobie trochę tajemnicy. Niektóre dźwięki przypominały agresywne i nagłe szarpnięcia, które zaskakiwały. Inne za to, wywołane drżeniem smyczka, były jakby płacz dziecka. To zaintrygowało Wróblewskiego.

Człowiek stał omamiony muzyką na tyle długo, że słońce dawno zdążyło już zmienić swoje położenie - zaczynał się wieczór. Wróblewski posiadał wykształcenie muzyczne, dzięki czemu potrafił wyobrazić sobie dźwięki, jakie grał skrzypek, jako nuty na pięciolinii. Robił tak, by ułożyć sobie melodię w głowie. Tym razem mężczyźnie wydawało się, że pięciolinia pojawiła się naprawdę, a nuty skakały na niej i okrążyły Wróblewskiego. Tego już nie potrafił pojąć. Próbował się uspokoić, tłumacząc sobie, że to nie jest prawda, ale to nie pomogło. Miał wrażenie, że naprawdę widzi zapis dźwięków, który lata dookoła niego.

Wróblewski zaczął obracać się nerwowo, goniąc wzrokiem dźwięki. Po chwili jego oddech przyśpieszył. Zaczął łykać powietrze, mając wrażenie, że się dusi. Światła latarni, które zostały zapalone przed kilkoma minutami, zaczęły mu migać przed oczami. Świat stał się rozmyty, a plamki żółtego światła oślepiały go. Próbował zrobić cokolwiek, żeby powrócić do rzeczywistości. Mijały kolejne minuty, a jedynym, co zostało z szarej ulicy grajka i brzydkich kamienic, była muzyka. Wsłuchał się

w dźwięki, myśląc, że to go uspokoi. Mylił się. Melodia była niczym narkotyk. Każde kolejne brzmienia uzależniały bardziej i wprowadzały w coraz silniejszy stan derealizacji. Wcześniej światła były żółte, teraz wyblakły. Wszystko wydawało się szare. Pozostała jedynie muzyka, która dla Wróblewskiego była jakby światłem w tunelu. Niestety po chwili i to światelko zniknęło, bo muzyka ucichła. Mężczyźnie dźwięczało w uszach oraz zaczęła boleć go głowa. Przez ból zapomniał o oddechu. Zaczął intensywnie przecierać oczy, błagając by to wszystko się skończyło.

Po chwili od momentu, w którym muzyka przestała grać, wszystko zaczęło wracać do normy. Latarnie odzyskały swoje żółte światło, a ból głowy powoli ustępował. Mężczyzna poczuł chłód od ścian kamienicy, spostrzegł, że opiera się o jedną z nich. Minęło kilka minut i doszedł całkowicie do siebie. Wszystko, co przed chwilą się wydarzyło, odeszło w przeszłość. Zostało sennym koszmarem, który z każdą sekundą był coraz bardziej zapomniany. Odetchnął z ulgą, ale po chwili coś na powrót go zaniepokoiło. Wróblewski spostrzegł, że tłum zdawał się nie dostrzegać, co właśnie się wydarzyło.. Rozejrzał się zdziwiony tym faktem. Twarze ludzi były spokojne. Nie mogąc zrozumieć tego, co się dzieje, spojrzał na róg skrzyżowania, lecz nie ujrzał tam nikogo. Skrzypek zniknął. Być może odszedł, kiedy muzykolog próbował dojść do siebie? A może nigdy go nie było? Najłatwiejszym rozwiązaniem, na jakie wpadł Wróblewski, było to, że to jego stara już głowa zwariowała, a wszystko, co się wydarzyło, wcale nie miało miejsca.

Z taką myślą, która znacznie go uspokoiła, wrócił do domu. Tam wyczerpany dniem położył się i niemalże natychmiast zasnął. Kolejnego dnia całkowicie zapomniał o skrzypku i poszedł do pracy, w której nic nie wskazywało na to, że coś miałoby się wydarzyć. Choć muzykolog wyrzucił z pamięci wczorajszą sytuację, coś w nim ona zmieniła. Zapomniał o kupieniu gazety i przystanął na skrzyżowaniu, gdzie ostatnio był skrzypek. Wróblewskiego zdziwiło to, że pustka jaką tam zastał, rozczerowała go. Zaskoczony swoim zachowaniem, postanowił wrócić jak najspokojniej do swojego domu. Mijając kolejne zabrudzone okna i zardzewiałe rynny, pozbył się uczucia, jakie wzbudził w nim brak nieznajomego.

Minęło kilka dni, podczas których Wróblewski z powrotem wrócił na typowy dla niego tor życia. Znów narzekał na redakcję „Miejskiego Dziennika” i ulicznych muzyków, którzy wrócili na swoje miejsce.

Wreszcie zaczęła się sobota, za którą Wróblewski przepadał szczególnie. W końcu mógł odpocząć od studentów, za którym nie przepadał, i udać się na swój ulubiony targ. Wstał wcześniej, żeby na pewno być pierwszym, który kupi świeże warzywa czy owoce. Szykując się do wyjścia, stwierdził, że przydadzą mu się też nowe buty. Z taką myślą udał się na bazar. Wykonane z ciemnego drewna stragany ciągnęły się

kilkadzieсят metrów w każdą stronę. Przez zapach ścieków, przebijały się aromaty przypraw, warzyw, owoców tudzież różnorodnych skór. Stawianie targu, w najbardziej śmierdzącej części miasta wydawało się pomysłem absurdalnym, lecz dla mieszkanców tego miasta było to całkowicie normalne. Gdzieś obok Wróblewskiego przebiegły dzieci, a niedaleko przeleciało stado gołębi, gdy wchodził w głąb targu.

Przeszedł obok kramu ze zwierzętami, które zamknięte w klatkach próbowały naskoczyć na przechodniów. Wróblewski minął stragan szybko, ponieważ nie przepadał za tymi stworzeniami. W końcu doszedł do stoiska, obok którego stała sporych rozmiarów tabliczka z napisem „BUTY”. Aż uśmiechnął się na ten widok. Wybrał ulubiony typ obuwia, które kupował zawsze. Później postanowił posnuć się trochę po bazarze dla własnej przyjemności.

Chodząc między stanowiskami z różnorodnymi przedmiotami, usłyszał melodię. Miał wrażenie, że ją zna, lecz nie mógł sobie przypomnieć skąd. Przystanął na chwilę, wsłuchując się w muzykę. Nagle Wróblewski ponownie zobaczył pięciolinie, która tym razem tworzyła ścieżkę. Nieznana mężczyźnie ciekawość kazała mu podążać ową drogą, co też uczynił.

Po chwili dotarł do skrzyżowania, przez które codziennie wracał do domu. Na miejscu grupy ulicznych muzyków stał skrzypek. Mimo, że nie darzył zbyt dużym szacunkiem tamtych wykonawców, ich zniknięcie go zdziwiło. Mężczyźnie wydawało się, że przed nim dzieje się coś, co widział we śnie. Cały bezsens tej sytuacji, wprowadził go w niepokój. Wróblewskiemu wydało się, że świat kurczy się i zgniata go. Po raz kolejny stracił panowanie nad oddechem. Zdenerwowało go to jeszcze bardziej. Chciał zacząć biec, ale zakreśliło mu się w głowie i gdyby nie złapał się ściany, upadłby. Nagle proste rzeczy stały się trudnymi. Wykonanie niewielkiego kroku, zmieniło się w coś niewyobrażalnie skomplikowanego. Dużo czasu minęło, zanim mężczyźnie udało się ruszyć z miejsca.

Gdy spojrzenia muzyka i Wróblewskiego się spotkały, ten drugi zobaczył, że skrzypek miał szaroniebieskie oczy. Przypominały nieskończony ocean, co znacznie uspokoiło muzykologa. Mimo to miały w sobie coś dziwnego, obcego. Mężczyznę zaczął irytować wzrok tajemniczego człowieka, który ciągle się w niego wpatrywał. Z drugiej strony sam nie mógł przestać patrzeć się na skrzypka. Mijały sekundy, a Wróblewski był coraz mniej cierpliwy. Ten wielbiący nudę człowiek teraz liczył, że coś się wydarzy.

I oto po kilku minutach w końcu coś się stało. Niestety nie tego oczekiwał Wróblewski... Skrzypek włożył instrument do futerału i odszedł. Tak po prostu. Zaczął iść w swoją stronę jak gdyby nigdy nic. Ta jedna z najzwyczajszych rzeczy, jaką mogą zrobić uliczni grajkowie, muzykologowi wydała się absurdalna i niewyobrażalna. Wręcz wprowadziła go w chwilowe osłupienie.

Mężczyzna zrobił to, czego się po sobie nie spodziewał - ruszył za tym człowiekiem. Szedł za nim w odległości kilkunastu metrów. Przykładał tak dużą wagę do tego,

żeby nie zgubić muzyka, że po chwili zorientował się, że sam nie wie gdzie jest. Przystanął zdziwiony ponieważ sądził, że zna miasto doskonale. Myśląc nad tym, zauważył, że skrzypek wchodzi do kamienicy o numerze 340. Coś było nie tak... W mieście nie istniała tak długa ulica, tego Wróblewski był pewien. Rozejrzał się wokoło i przyuważył tabliczkę z nazwą. Nie mógł uwierzyć, że znalazł się w miejscu, w które przed chwilą sam nie wierzył. Był na Ulicy.

Przeraziło go to. Przez chwilę myślał, że znowu stracił panowanie nad swoim ciałem, ale udało mu się uspokoić. Drapiąc się nerwowo po tyle głowy, zaczął iść w stronę drzwi, przez które przeszedł muzyk. Westchnął ciężko i, zamykając oczy, nacisnął na klamkę.

Choć wiedział, że Ulica jest magiczna i dziwna, spodziewał się, że mimo wszystko wejdzie na klatkę schodową, lecz stało się inaczej. Drzwi, przez które przeszedł, wyprowadziły go na kolejną ulicę. Pierwszym, co do niego dotarło, był dźwięk. Miał wrażenie, że wiatr wył, a deszcz uderzał o chodnikowe kafelki, jakby ktoś wypełnił bęben grochem i grał na nim. Dźwięki wydobywające się ze wszystkiego denerwowały go i dopiero po kilku minutach przyzwyczał się do nich.

Rozejrzał się. Tutaj niebo było całkowicie widoczne. Wróblewskiemu wydało się piękne. Miało niebiesko-czerwony kolor, a nie szary jak zwykle. Kamienice za to wykonane były z czerwonej cegły, a w oknach stały kwiaty. Zafascynowany tym widokiem, zaczął przechadzać się w tą i z powrotem. Spostrzegł, że znalazł się w jakiejś nieznanej mu, pięknej części miasta, bo ulic takich jak ta było więcej.

Po chwili zapomniał już o tym, że znalazł Ulicę, że ponownie spotkał dziwnego skrzypka, a jego muzyka sprawiła, że zatracił poczucie rzeczywistości. Chodził między ulicami z uśmiechem na twarzy. Wróblewskiego zaciekało to, że każdy jego krok był jakby muzyką bez melodii. Po tej stronie miasta wszystko nią było. Gdy tak przeskakiwał z nogi na nogę, sprawdzając czy w ten sposób wyda inny dźwięk, usłyszał za sobą hałas. Coś przemknęło za jego plecami, ale gdy się obejrzał, niczego nie ujrzał. Mężczyzna wstrzymał oddech i rozejrzał się dokładnie. Spostrzegł wtedy, że przez prostopadłą ulicę przechodzi dziwna istota. Przypomniła pół przezroczystą ciemną masę, która ciągle zmieniała swój kształt. W jednym momencie miała długie ręce, które obijały się o podłoże, a jej głowa zwisała luźno, ale po chwili jej dolne kończyny wydłużyły się i ciało przechyliło w przód.

Ten widok zmroził Wróblewskiemu krew w żyłach. Nigdy nie widział czegoś takiego. Patrząc na istotę z otwartą buzią, dostrzegł, że takich jak ona jest więcej. Chodziły niedaleko niego. Zdawało się, że go nie zauważyły, ale ich sapiący oddech słyszał na swoim karku. W tych istotach było coś, co sprawiało, że Wróblewski nie miał ochoty mieć z nimi nic do czynienia. Budziły w nim strach. Nie fascynację, tak jak muzyka skrzypka, były po prostu przerażające. Mężczyzna poczuł, że nie może się ruszyć. Jego ciało całkowicie zdrętwiało, wtedy usłyszał kogoś za sobą.

- Miło cię tutaj widzieć, człowieku - powiedziała istota stojąca za mężczyzną.

Wróblewski obrócił się i w zmiennokształtnej postaci dostrzegł coś ze skrzypka. Dopiero po chwili dotarło do niego, że mówiąc, stworzenie wydaje dźwięki. Do tej pory zdawało mu się, że wszystkie odbyte przez niego dialogi pojawiały się w jego głowie niczym nieme komunikaty, sformułowania, których po prostu był świadomy. Teraz również uszy były zaangażowane w ten proces. Wróblewski zmarszczył brwi, zastanawiając się, jak to się stało. Do tej pory jedynie instrumenty wydawały dźwięki.

- Jak to możliwe? - zapytał.

- Wiele rzeczy, które cię dzisiaj spotkały, mogą wydawać ci się niemożliwe. O którą z nich ci chodzi? - skrzypek dopytał spokojnie, przychyłając swoją chwilowo długą głowę lekko w bok.

- Wszystko brzmi, a nasza rozmowa przypomina muzykę, ale inną... Taką, której nie znam.

Gdyby Wróblewski wiedział, jak brzmi śmiech, nie odniósłby wrażenia, że istota wykrzykuje coś w jakimś nieznanym mu języku. Cofnął się kilka kroków z przestrachem - W tym świecie wszystko ma swój dźwięk - odpowiedziała, zauważywszy, że śmiech wystraszył człowieka.

Nastąpiła chwila milczenia. Wróblewski wciąż nie do końca pojmować jak to się dzieje. Jego uszy bolały go od nadmiaru brzmień, ale dalej był nimi zafascynowany. W końcu skrzypek przerwał milczenie, podchodząc do mężczyzny bliżej i mówiąc:

- Było kilku, którzy tutaj trafili. Mieli oni wybór - zostać z nami i nami się stać albo wrócić do domu, lecz to drugie można dostać za wysoką cenę.

Głos skrzypka stał się lekko zachrypnięty i o wiele niższy. Ten ton sprawił, że Wróblewski zrozumiał, iż stoi przed naprawdę poważnym wyborem.

- Jaką? - zapytał cicho, nie będąc pewien czy ma prawo zadać takie pytanie.

Skrzypek wyszczerzył się, ujawniając perliste białe zęby. Każdy z nich wyglądał dokładnie tak samo, idealny prostopadłościan.

- Cenę szaleństwa.

Te słowa zawisły w powietrzu, wprowadzając w przerażenie Wróblewskiego. Mężczyzna jeszcze przed kilkoma dniami wyśmiałby to, uznając za kłamstwo, lecz teraz wierzył, że skrzypek ma rację.

Odszedł kilka kroków od stworzenia i spojrzał w niebo. Zrobiła się noc. Księżyc, przypominający sierp oświecał okoliczne chmury swoim lodowatym blaskiem. Ten świat był naprawdę piękny. Pierwszy raz w życiu widział, żeby ktoś miał kwiaty w oknach. W jego mieście uznano by to za głupie. Tutaj pewnie nie było „Miejskiego Dziennika”. Na targu zapewne nie śmierdziało fekaliami. Nie usłyszał również tej okropnej muzyki, która w mieście grana była wszędzie. Mimo wszystko coś przeszkadzało mu w pozostaniu tutaj. Pewnego rodzaju tęsknota za domem. Za szarym miastem, nudną gazetą a nawet za tą muzyką. Wróblewski - człowiek nienawidzący większości rzeczy, które go otaczały, czuł do nich przywiązanie i nie potrafił się z nimi rozstać. Zawsze drwił z ludzi, którzy cierpieli z braku możliwości powrotu do domu,

lecz teraz sam nie wyobrażał sobie go tak po prostu opuścić. A mógł przecież tutaj zostać, nikt by nie przejął się jego zniknięciem. Był starszym mężczyzną niemającym przyjaciół czy znajomych. W jego pracy też nikt go nie lubił. Mimo tego wszystkiego nie potrafił wyobrazić sobie życia bez swojego miasta.

Odwrocił się na pięcie z powrotem do istoty, która przyglądała mu się swoimi wąskimi oczami.

- Wracam - powiedział jak najpewniej potrafił, choć jego głos drżał.

Stworzenie cofnęło się o krok. Wyglądało na zdziwione tą decyzją, lecz nie odezwało się słowem. Odwróciło się plecami do Wróblewskiego i zaczęło iść przed siebie. Zauważywszy, że człowiek nie rozumie, co ma zrobić, zaprosiło go palcem do podążania za nim.

Po chwili znaleźli się przy jednej z kamienic, a istota rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Wróblewskiego, wskazała mu bezpalczastą łapą drzwi. Mężczyzna bez oglądania się za siebie w strachu, że zmieni zdanie, wyszedł przez nie szybko. Tego, co stało się dalej, nie był w stanie zapamiętać.

Pana Mirosława Wróblewskiego znaleziono nieprzytomnego na ulicy. Gdy zabrano go do szpitala i wybudzono nie potrafił odpowiedzieć na najprostsze pytania. Wszelkie badania nie wykazały żadnego uszkodzenia ciała. Po kilku dniach pan Wróblewskiego zbadano psychiatrycznie. Mężczyzna nie umiał komunikować się normalnie, z jego bełkotu dało się wyciągnąć jedynie dwa sensownie brzmiące słowa „skrzypek” i „Ulica”. W końcu został umieszczony w zakładzie psychiatrycznym, w którym po miesiącu z nikomu nieznaney przyczyny zmarł.

Obok szpitala, do którego początkowo zawieziono mężczyznę, leżał kawałek najnowszego wydania „Miejskiego Dziennika”. Jeden z przechodniów, idąc obok budynku, zauważył go. Człowiek pochylił się nad gazetą i odczytał nagłówek: „Mężczyzna, który nie wierzył w istnienie Ulicy właśnie na nią trafił”. wierzę,

III MIEJSCE

Maja Bury

godło: AMETYST

.....

„Sara Morgan-Berg”

- Rozumiem, że to trudne, Lindsay, ale potrzebujemy twoich zeznań - uspokajam kobietę siedzącą naprzeciw mnie, jednocześnie starając się skupić na jej gestach. - Z wypowiedzi rodziny wynika, że to właśnie ty byłaś Sarze najbliższa w ostatnich latach, więc pewnie wiesz więcej niż reszta świadków, a dla nas ważna jest każda informacja. Uspokój się i opowiedz nam o niej i o ludziach z jej otoczenia.

Przyglądam się kobiecie ubranej w drogą suknię i dwudziestocentymetrowe szpilki. Zastanawiam się, co jej chodzi po głowie. Zdaniem poprzednich świadków, była niemalże nierozłączna z ofiarą, jednak ciągle nie pasuje mi coś w jej zachowaniu. Odrzucam tę myśl i kątem oka spoglądam na mojego partnera, spisującego poszlaki i wypowiedzi Lindsay. Mark zawsze to robi – notuje wszystko, co wydaje mu się w jakikolwiek sposób przydatne, nawet jeśli jest to za długi wdech świadka. Moją uwagę ponownie przykuwa płacząca kobieta, tym razem ewidentnie gotowa do rozmowy.

- Więc... Sarah była człowiekiem-aniółem. Nigdy nie powiedziała na nikogo nic złego, zawsze się uśmiechała... nie wiem, komu mogłaby zawadzać, przecież była taka dobra...

- Okej, a jej mąż? Był dla niej w porządku? Zauważyłaś jakieś niepokojące oznaki? - odzywa się mój partner, typowym dla niego, ostrym tonem.

- Steve? Proszę was, nie myślicie chyba, że to on mógł skrzywdzić Sarę... oni byli razem od czasów liceum. Zawsze przykładna para, zakochane gołąbeczki...

Patrzył na nią jak na ósmy cud świata - w głosie Lindsay można usłyszeć zazdrość i żal, jakby sama nie wiedziała, co czuje. - Sara nigdy się na niego nie skarżyła, zazwyczaj nawet go chwaliła. Nie wydaje mi się, aby był zdolny jej coś zrobić.

- Czy Sara wspominała o nietypowych wydarzeniach lub nieznanym osobach, pojawiających się w jej życiu? Nie dostawała żadnych pogróżek lub innych tego typu rzeczy?

- Wydaje mi się, że nie, jednak... no cóż, mimo, że byliśmy z Sarą bardzo blisko, odkąd poznałyśmy się w liceum jakieś szesnaście lat temu, przez ostatnie trzy lata nasz kontakt trochę

się pogorszył. Wiecie, jak to jest... ja postanowiłam robić karierę, a ona skupiła się na rodzinie. Nasze ścieżki zwyczajnie się rozeszły.

- Chwila, rodzinie? Proszę, wyjaśnij swoją wypowiedź...? - pytam, świadoma odpowiedzi.

- Sarah bardzo chciała dzieci.. - Lindsay waha się, jakby nie była pewna, czy chce kontynuować. - Parę lat temu zaszła w ciążę, jednak poroniła w bodajże... siódmym miesiącu. Zniosła to okropnie, jak się można domyślić... był to najgorszy okres w jej życiu. Przez pewien czas chodziła do terapeuty i nawet zażywała jakieś leki. Terapia pomogła jej i po około dwóch latach doszła do siebie. Postanowiła wraz ze Stevem ponownie zacząć starać się o dziecko, jednak bez skutku. To była jej czarna chmura... Jak już wcześniej mówiłam, Sara była zawsze uśmiechnięta, radosna... nawet po kolejnych negatywnych testach, starała się pozostać optymistką, ale ja widziałam, że cierpi. Steve także cierpiał, ale on również nigdy by się do tego nie przyznał...

- Czy myślisz, że Sara była zdolna do popełnienia samobójstwa? - Mark odzywa się stanowczo, jak zwykł to robić. Jego priorytetem zawsze było uzyskanie największej ilości informacji.

- Nie sądzę, że byłaby do tego zdolna. Zawsze ceniła sobie życie... - Lindsay kolejny raz przerywa swą wypowiedź. - Ciężko jest mi myśleć, że mogłaby dokonać czegoś tak strasznego... jednak z drugiej strony, Sara nigdy nie lubiła mówić o przykrych rzeczach, zatrzymywała je dla siebie i raczej nie chciała, żeby ktoś się wtrącał... Może zbagatelizowałam oznaki, może powinnam była zmusić ją do rozmowy...

Kończąc przesłuchanie, w obawie, że Lindsay znów wpadnie w histerię. Kobieta wychodzi z pokoju, a my z Markiem możemy w końcu przedyskutować dotychczas zebrane informacje. Po krótkiej konwersacji, Mark zaczyna czytać wpisy ze swojego notesu.

- „Sara Morgan-Berg – 31 lat, spokojna, bezkonfliktowa, dobry kontakt z rodzicami i siostrą, posiadała kilku bliskich znajomych, średnie zarobki, brak dzieci, dawniej leczona na depresję”. - Coś mało jak na ciebie, spodziewałam się poematu.

- To były tylko najważniejsze informacje o ofierze, jeśli chcesz posłuchać także o świadkach, to lepiej rozsiądź się wygodnie, bo jest tego sporo.

Wyrywam mu notes z ręki i zaczynam czytać. Bardzo dużo napisał o rodzicach ofiary, mnóstwo szczegółów ich zachowań, gestów i wypowiedzi. Sprawiali wrażenie bardziej zakłopotanych niż zrozpaczonych, nic do nich nie docierało i ciężko było wydostać z nich cokolwiek, co mogłoby pchnąć śledztwo do przodu. Wypowiedzi były bardzo ogólnikowe, mówili o Sarze same dobre rzeczy. Jedyną mniej przychylną ich reakcją była złość, gdy zostali zapytani o powód porzucenia przez córkę studiów. Widać było, że cała rodzina przykładła dużą wagę do wykształcenia, a Sara, ich zdaniem, nie miała żadnego powodu, by zrezygnować z dalszej nauki. Kontynuując czytanie i przeglądając informacje o znajomych kobiety. Było ich niewiele: Mike, Nicolas, Kate i Lindsay byli jej jedynymi przyjaciółmi. Zaciekała mnie relacja Mike’a, który otwarcie opowiadał o swoim zauroczeniu do Sary. Mówił wiele o jej mężu, który był w stosunku do niego bardzo opryskliwy i nie lubił, gdy Sara wychodziła ze znajomymi na miasto. Opisywał Steve’a jako osobę chorobliwie zazdrosną. Opowiadał o różnych sytuacjach, w których był świadkiem kłótni między Sarą a jej

mężem i określał je jako „bardzo intensywne”. Zaczynam rozmyślać, czy to naprawdę Steve stał za śmiercią ofiary. Sekcja zwłok również nie przemawia na jego korzyść, jednak według wypowiedzi rodziców i Lindsay, Steve był idealnym, wspierającym partnerem. Ciągłe coś mi nie pasuje. Jeśli nie był zamieszany w morderstwo, to dlaczego jego odciski palców znalazły się na sznurze? Oczywiście istnieje cień szansy, że używał go do innych celów, to można jakoś zracjonalizować, ale świeże ślady szarpaniny na ciele ofiary trudniej wyjaśnić. Ponownie odsuwam rozmyślenia na bok i koncentruję się na wpisach Marka. Kolejny przesłuchiwany, Nicolas, nie wniósł zbyt dużo do sprawy, mówił te same rzeczy, które usłyszeliśmy od reszty. On także nie przepadał za Stevem i próbował przekonać Sarę do opuszczenia go, jednak bezskutecznie. Podobno kobieta była zakochana do szaleństwa i była w stanie zrobić dla męża wszystko. Staram się nie oceniać ofiar i ich błędów życiowych, więc bez dłuższego namysłu przewracam kolejne strony notesu. Zatrzymuję się na relacji Kate, byłej terapeutki Sary. Kobieta spośród wszystkich przesłuchiowanych wydała się być najbardziej przejęta jej śmiercią, może dlatego, że podobno w czasie terapii mocno się zżyły. Terapeutka wytłumaczyła, w jakim stanie psychicznym znajdowała się ofiara, ponieważ podejrzewała u niej rozwijającą się fobię społeczną i silną depresję. Z wywiadu wynika, że ich pierwsze spotkanie miało miejsce pod koniec dwa tysiące szesnastego roku i od tamtego momentu spotykały się trzy razy w miesiącu przez dwa lata. Sara zdecydowała się zakończyć leczenie, gdy dotarło do niej, że nigdy nie dojdzie całkowicie do siebie. Kate wyjawiała także, że pod koniec terapii zaczęła podawać Sarze środki uspokajające i antydepresanty. Leki nie były przepisane przez psychiatrę, co jest niestety niezgodne z prawem. Biorę głęboki wdech i już mam wrócić do dalszej analizy, gdy słyszę głos Marka.

- Zauważyłaś, że prawie każdy wspomina Steve'a?

- Tak, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Mnie bardziej zaciekała ta terapeutka. Nie kupuję tego, że była tak strasznie przejęta zdrowiem Sary, bo jeśli tak było, to wysłałaby ją do psychiatry, który ma kwalifikacje do przepisywania leków.

- Racja, ale pamiętaj, że Kate jest krótko w zawodzie, Sara była jedną z jej pierwszych pacjentek. Zresztą obie pozostały w kontakcie po zakończeniu terapii, może się zaprzyjaźniły? Wątpię, że kobieta przyznałaby się do handlu lekami, gdyby nie była tak przejęta. - A co, jeśli obawia się, że to leki pogorszyły stan Sary? W końcu nie od dziś wiadomo, że źle dobrane lub nieprawidłowo dawkowane leki mogą tragicznie wpłynąć na samopoczucie każdego.

- Okej, to jest jakaś możliwość, ale popatrz tu - Mark wskazuje długopisem wpis w notiesie. - Kate powiadomiła Steve'a o dawkowaniu leków, więc ktoś z otoczenia był jednak świadomy o stanie Sary.

- Chyba nie mówisz serio. Wszystkie dowody z miejsca zbrodni wskazują na to, że Steve Berg jest zamieszany w śmierć żony, a ty jako jeden z argumentów na uniewinnienie terapeutki podajesz fakt, że kontaktowali się ze sobą? Pomyśl

logicznie, Sara miała na swoim ciele pełno starszych i świeżych siniaków oraz różnych ran. Na jej szyi znaleziono jego odciski palców, tak samo jak na sznurze. Jak długo chcesz się oszukiwać? - podnoszę głos, nie kontrolując emocji. Można by pomyśleć, że po dziewięciu latach badania morderstw takie rozmowy nie będą wzbudzać we mnie żadnych emocji, jednak w tej sprawie jest zawarte wszystko, czego nienawidzę w ludziach: głupota, ignorancja, zakłamanie.

Mark po uspokojeniu mnie zaczyna przedstawiać swoją teorię, zauważając, że kilka osób bardzo przychylnie komentuje zachowanie męża Sary. Są to oczywiście rodzice oraz Lindsay. O ile Morganowie nie znali go aż tak dobrze, Sara nigdy im się na niego nie skarżyła, a sami widywali go kilka razy w roku, więc mogli faktycznie wierzyć w dobroć jego serca, o tyle Lindsay widywała Sarę bardzo często, nawet w ciągu ostatnich paru lat, gdy ich kontakt się osłabił. Nie było możliwości, żeby nie zauważyła żadnych podejrzanych zachowań w jego sposobie bycia, skoro nawet dalsi znajomi Sary byli świadkami toksycznych sytuacji. Od tego momentu sytuacja rozbija się na kilka możliwych wersji wydarzeń. Jeśli założymy, że Lindsay kłamie, to możemy podejrzewać, że rodzice nie troszczyli się o Sarę i jej dobrobyt w takim stopniu, jak to opisywali, lub oni również kryli Steve'a. Jeśli natomiast kłamia Mike i Nicolas, to musimy przyjrzeć się bardziej ich intencjom. Kontynuujemy dyskusję i wymieniamy się opiniami, jednak rozmowa prowadzi donikąd. Najbardziej prawdopodobna teza, do której udało nam się dojść, to założenie, że tylko Lindsay kłamie, bo w jej wypowiedziach znaleźliśmy wiele niezgodności i gloryfikacji. Cały jej opis znalezienia ciała Sary nie pasuje do faktycznego miejsca zbrodni. Ostatecznie decydujemy się na przerwanie dialogu i skupienie się na odnalezieniu Steve'a, który był widziany po raz ostatni na trzy dni przed śmiercią żony. Dni mijają, a nasze śledztwo tkwi w martwym punkcie. Nie możemy jednoznacznie uznać, że Sara popełniła samobójstwo ze względu na ślady bronienia się. Morderstwo wydaje się być tu bardziej wiarygodną opcją, jednak w całej sprawie pojawia się wiele niejasności i początkowo łatwa sprawa zamienia się w istną łamigłówkę z niekończącą się liczbą pytań. Kto kłamie? Czy Sara naprawdę została zamordowana? Czy Steve Berg jest tym idealnym wzorem partnera, jak to opisywali rodzice i najlepsza przyjaciółka Sary? A może drzemie w nim krwiożercza bestia? Czy Lindsay jest w tym wszystkim bez winy i naprawdę nie zauważyła żadnych konfliktów w życiu jej koleżanki? Lub stara się odwrócić od siebie uwagę, zatajając informacje? Albo to terapeutka jest zamieszana w śmierć kobiety? Jest tak wiele możliwości, a tak cholernie mało poszlak. Rozmyślam o możliwych opcjach, jednak zawsze wszystko sprowadza się do odnalezienia męża Sary. Dlaczego on w ogóle uciekł? Jeśli byłby niewinny, to nie miałby powodu się ukrywać. Może to faktycznie on stoi za morderstwem? Większość wskazówek prowadzi właśnie do niego. Nie wiem, dlaczego dalej nie jestem przekonana, że to on jest zabójcą, może to instynkt, a może zwyczajnie głupota. Siedzę przy swoim biurku i sprawdzam kolejny raz akta, gdy słyszę dźwięk

telefonu. Po odebraniu go, dociera do mnie głos Marka, mówiący mi, że mam przyjechać pod dom Lindsay. Czuję przypływ adrenaliny i od razu zbieram się do auta. Mam szczęście, bo drogi są puste i bez problemu dojeżdżam pod wskazany adres. Nie podjeżdżam pod sam budynek, a stoję kilkanaście metrów dalej, by nikt mnie nie zauważył. Rozglądam się po dość spokojnej, ewidentnie bogatej dzielnicy, aż zauważam mojego partnera, stojącego pod jednym z domów.

Gdy do niego podchodzę, on od razu każe mi się schować obok i spojrzeć za garaże. Stoi tam Lindsay z pewnym wysokim brunetem, do złudzenia podobnym do Steve'a. Mark objaśnia sytuację i tłumaczy mi, jak dziś rano dostał anonimowy telefon, zdradzający tymczasowe miejsce pobytu Berga oraz informacje o romansie męża Sary z jej najlepszą przyjaciółką. Powiadomił go także o ich planowanym spotkaniu, które miało mieć miejsce pod jej domem. Te fakty były ważne w naszym śledztwie, bo morderstwo mogło zostać dokonane pod wpływem emocji. Przykładowo, mogła do niego doprowadzić chęć pozyskania pełnej uwagi kochanka i złość przez brak uwagi z jego strony. Gdyby rzeczywiście tak było, ślady szarpaniny miałyby sens. Odciski palców Steve'a na sznurze można uznać za próbę zamaskowania zbrodni, którą wyrządziła jego nowo odnaleziona miłość. Być może byli w spisku? W mojej głowie pojawiają się kolejne wersje wydarzeń, analizuję prawdopodobieństwo każdej z nich, lecz przerywam, gdy dochodzą do mnie głosy Lindsay oraz męża ofiary.

- Mówiłem ci, że ucieczka to była jedyna opcja! - wysoki brunet unosi swój głos w niezwykle agresywny sposób, który byłby w stanie wystraszyć każdego.

- Ty idioto, teraz mają cię za głównego podejrzanego! Masz świadomość, ile oni zadawali pytań na twój temat!?

- Może dlatego, że na ciele Sary były zapewne moje odciski palców? Tłumaczyłem ci przez telefon, że zanim ją znalazłem, pokłóciliśmy się. Wiesz, jak to jest... ona zaczęła krzyczeć i płakać, nie wiedziałem, jak zareagować, była okropnie nabuzowana...

- Więc ją zabiłeś? - wykrztusza zapłakana kobieta. Brzmi tak, jakby wcale nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

- Nie. Nigdy bym jej nie zabił. Fakt, bywałem do niej podły, ale... - głos Steve'a jest żaloszny, na moment zaczynam mu współczuć, jednak szybko przytomnieję i wracam do podsłuchiwania konwersacji. - Skrzywdziłem ją, okej? Gdy zaczęła mówić, jak to zniszczyłem jej życie, dotarło do mnie, że ma rację. Wybuchłem... nie potrafiłem się opanować, ścisnąłem ją za gardło, a ona zaczęła się wyrywać. Puściłem ją na ziemię dopiero, gdy całkiem opadła z sił... ale nie zabiłem jej! Nie byłbym do tego zdolny, nawet w najgorszych snach...

Lindsay zaczyna uspokajać męża ofiary, który szlocha teraz nieprzerwanie. W mojej głowie znów pojawia się bałagan. Jeśli on jej nie zabił, to kto? Może to rzeczywiście samobójstwo..? Spoglądam na Marka, który śle mi porozumiewawcze spojrzenie.

Obydwoje wyciągamy broń i powoli kierujemy się w stronę rozmówców. Na nasze szczęście, są zbyt roztrzęsieni, by uciekać, więc zgarniamy ich do samochodu i zabieramy na przesłuchania. Przez całą drogę powrotną panuje grobowa atmosfera, Steve i Lindsay płaczą na tylnych siedzeniach i co chwilę szepczą coś między sobą, a ja i Mark upominamy ich oraz wyjaśniamy im protokół. Gdy znajdujemy się już pod naszym posterunkiem, wyprowadzamy świadków i przekazujemy ich reszcie ekipy, sami udajemy się do pokoju przesłuchań. Czekamy, aż Berg zostanie wpuszczony do pomieszczenia i w międzyczasie ustalamy pytania. Mark proponuje wyjść z założenia, że to mąż Sary był mordercą, ale nie chciał się przyznać kochance, jednak ja chcę skupić się na wyjaśnieniu pogłosek o romansie i ostatnich chwilach, w których widziana była Sara. Dyskusję przerywa jednak odgłos otwierających się drzwi, naszym oczom ponownie ukazuje się wysoki brunet.

- Proszę, siadaj tutaj - mówię łagodnym głosem, wskazując na krzesło stojące naprzeciwko mnie. - Słyszeliśmy twoją rozmowę z Lindsay. Powiedz nam, jakie były twoje stosunki z żoną?

Wiemy, że przed jej śmiercią wyrządziłeś jej krzywdę, czy takie sytuacje miały miejsce częściej?

- Niestety tak. Kochałem Sarę... Nadal ją kocham, jednak popełniłem wiele błędów, mój nałóg w tym nie pomagał... a z czasem było coraz gorzej...

- Wyjaśnij, co masz na myśli. O jaki nałóg chodzi? - Mark ponownie używa swojego chłodnego sposobu mówienia. - Od czego byłeś uzależniony?

- Zaczęło się od alkoholu, z nim miałem problem, już gdy poznałem Sarę. Nie było to wtedy nic wielkiego, popijałem od czasu do czasu, może trochę częściej niż inni, ale nie myślałem, że to już nałóg. Później mi się pogorszyło, miałem trochę problemów osobistych, chodziłem na terapię, by wyleczyć moje... problemy z agresją. Przez jakiś czas piłem bez umiaru, denerwowało mnie dosłownie wszystko. Wiem, że dałem wtedy Sarze popalić, jednak ona i tak pozostała przy mnie, zrezygnowała nawet ze studiów, by wesprzeć mnie w leczeniu.

- Proszę, przejdź do rzeczy, nam chodzi teraz tylko o twoje uzależnienie - Mark przerywa wypowiedź Steve'a widocznie zirytowany. - Gdy skończyłeś terapię, dalej piłeś?

- Nie, przez parę lat po zakończeniu leczenia, nie tknąłem alkoholu ani razu. Wtedy też wzięliśmy z Sarą ślub, to były najlepsze lata mojego życia...

- Więc co się stało potem? - dopytuję zaciekawiona opowieścią.

- Jak wszystko, co dobre, musiało się skończyć. Gdy oczekiwaliśmy dziecka, pojawiły się problemy rodzinne. Rodzice Sary niekoniecznie mnie tolerowali, zawsze wypominali mi, że jestem psychiczny i nie zasługuję na miano męża ich córki. Mam wrażenie, że pozwolili być Sarze ze mną tylko ze względu na moje pieniądze i dobre pochodzenie.

W miarę rozwoju historii zauważam coraz więcej niezgodności między wypowiedziami rodziców ofiary a jej męża. Na tym etapie nie wiem jednak, komu ufać.

- Czy dobrze rozumiem, rodzice Sary nie chcieli, by wasze dziecko przyszło na świat, bo obawiali się, że odziedziczy po tobie chorobę psychiczną? - Mark wypowiada te słowa z wielką ostrożnością.

- Zaburzenie - Steve z wyraźnym niezadowoleniem poprawia swojego partnera. - Bali się, że to może nieść za sobą konsekwencje także dla ich reputacji, gdyż byli swego czasu bardzo szanowaną rodziną w naszym miasteczku. Sara sprzeciwiła im się i wspólnie postanowiliśmy się przeprowadzić nieco dalej od nich, by móc w spokoju odpocząć. Pech chciał, że akurat wtedy w firmie mojego ojca, w której pracowałem, rozpoczęły się problemy... ojciec zamknął działalność, a ja straciłem pracę. Koszty utrzymania były wielkie, a my z każdym mijającym miesiącem mieliśmy coraz mniej oszczędności. Nie potrafiłem się nawet cieszyć ze zbliżających się narodzin dziecka, miałem zbyt wiele na głowie. Nie umiałem znaleźć nowej posady, gdyż opinia o mnie i moim ojcu nie była zbyt pochlebna. Ostatecznie zacząłem znowu pić, do tego doszły także inny używki... Nie byłem wtedy najlepszym materiałem na partnera, co dopiero rodzica. Sara była ciągle zestresowana, nie potrafiła się uspokoić, co niestety, zakończyło się tragicznie. Straciliśmy dziecko. - Steve ponownie płacze, a głos więźnie mu w gardle. Po chwili przerwy mężczyzna ociera łzy i kontynuuje opowieść, wciąż pełen żalu. - Obydwoje byliśmy zdruzgotani, ja piłem jeszcze więcej, a Sara rozpoczęła terapię u Kate, przyjaciółki jej rodziny... Nie pomagałem jej, nie miałem siły jej wspierać, więc wróciła do swoich rodziców, a ja... no cóż, tu pojawiła się Lindsay.

Mężczyzna opowiada szczegółowo o wszystkich wydarzeniach od powrotu ofiary do domu, zalewając się przy tym w swoich łzach. Przyznaje się do romansu z przyjaciółką żony i wyjawia, że to ona pomogła mu stanąć na nogi. Okazuje się również, że Kate zorganizowała leki uspokajające na prośbę rodziców ofiary, gdy ludzie z miasteczka zaczęli zauważać, że z ich córką dzieje się coś złego. Dotarło do mnie, że państwo Morgan nie wypowiadali się tak dobrze na temat Steve'a, aby kryć jego błędy, a ich własne pomyłki. Dowiadujemy się również, że gdy para zeszyła się z powrotem dwa lata temu i ponownie zaczęła starać się o dziecko, Morganowie długo nie mogli pogodzić się z tą decyzją. Zaakceptowali Steve'a dopiero, gdy ten na nowo znalazł pracę, jeszcze lepiej płatną niż poprzednią, i kupił willę niedaleko ich domu. Podobno Sara była już w lepszym stanie, leki zdawały się jej pomagać, jednak Steve dalej korzystał z używek i stopniowo wracał do swoich dawnych nawyków.

- Problemy z agresją ponownie wróciły... byłem ciągle wściekły, na siebie, Sarę, na cały świat. Liczyłem, że te cholerne dwie kreski wszystko naprawią, jednak nigdy się ich nie doczekałem. Może to i lepiej... nie wiem, co by się stało, gdyby maluch był już na świecie, a ja podczas napadu gniewu bym go skrzywdził.

Steve wpada w histerię, nie jest w stanie powiedzieć nam nic więcej, więc jesteśmy zmuszeni zakończyć jego przesłuchanie. Brunet przed wyjściem z pokoju podaje mi

do ręki pogniecioną kopertę. Dziwię się przez moment, po czym decyduję się na jej otwarcie. W środku znajduje się list pożegnalny. Czytam go powoli, nie wierząc, że cała nasza sprawa zostaje wyjaśniona przez jeden kawałek papieru. Gdy skupiam się na jego treści, do moich oczu napływają łzy. Ofiara znosiła przemoc domową, poroniła w samym końcu ciąży, dowiedziała się o zdradzie męża, nie wyznała niczego rodzicom w obawie, że ci znów ją odrzucą, a także zaczęła samodzielnie powiększać sobie dawkę branych leków w nadziei, że to złagodzi jej ból. Kobieta była wykończona psychicznie przez tyle czynników, że aż trudno jest mi wyobrazić sobie, jak jeden człowiek potrafił przejść przez tak wiele. Czuję naraz niezliczoną ilość emocji. Gniew, smutek, współczucie - to tylko kilka z nich, reszty nie jestem w stanie nawet opisać. Zawsze myślałam, że najstraszniejszą rzeczą, której człowiek może dokonać, jest morderstwo, jednak w tej chwili, trzymając list pożegnalny Sary Morgan-Berg, uświadamiam sobie, że to samobójstwo jest najstraszniejsze, ponieważ nie odbierasz życia przypadkowej osobie, nie dokonujesz aktu zemsty, a świadomie uciekasz z tego świata. Jak okropne musiało być jej cierpienie...

Upłynęło kilka dni od momentu wyjaśnienia sprawy. Po przeczytaniu listu pożegnalnego zanieśliśmy go do sprawdzenia, aby upewnić się, że to faktycznie pismo ofiary. Zespół szybko ustalił, że styl pisania pokrywał się w stu procentach z jej pismem, a ja poczułam ulgę wiedząc, że sprawa jest zamknięta. Wraz z Markiem chcieliśmy ustalić oficjalną wersję wydarzeń, więc ponownie przesłuchaliśmy wszystkich świadków. Steve oraz Lindsay przedstawili tym razem identyczny opis zdarzeń, zgodny z sekcją zwłok oraz tym, czego dowiedzieliśmy się po zbadaniu miejsca zbrodni. Sara oraz Steve pokłócili się, a gdy kobieta dowiedziała się o jego zdradzie, doszło do poważnej szarpaniny. Mężczyzna poszedł do baru, a po powrocie znalazł ciało wiszące na lampie w salonie. Ze strachu uciekł, jednak zdążył powiadomić swoją kochankę o śmierci Sary przez telefon z budki i jak najszybciej wyjechał za granicę. Lindsay zadzwoniła w tym czasie na policję i podjechała pod dom Sary, gdzie spotkaliśmy ją po raz pierwszy. Nieco trudniej było nam dowiedzieć się prawdy o sprzedaży leków. Oczywiście, państwo Morgan zaprzeczali zarzutom pod ich adresem, jednak przyznali się, gdy ich druga córka wszystko potwierdziła. Kiedy już nabrałam pewności, że te wydarzenia rzeczywiście miały miejsce, zgłosiłam sprawę dalej i aktualnie toczy się spór dotyczący sprzedawania przez Kate antydepresantów i innych środków. Może grozić jej nawet dziesięć lat pozbawienia wolności za nielegalny handel lekami. Chciałabym powiedzieć, że jest mi jej żal, bo wiem, że pragnęła pomóc, jednak jestem świadoma, jak nierozsądne i szkodliwe było jej podejście. W podobnej sytuacji znajduje się Steve, który stanie przed sądem za stosowanie przemocy fizycznej oraz psychicznej na swojej żonie, co doprowadziło do popełnienia przez nią samobójstwa - grozi mu nawet dwanaście lat. Pozostali świadkowie, którzy składali fałszywe zeznania, także nie pozostaną bezkarni. Czytam właśnie podsumowanie całego dochodzenia i orientuję się, że po raz pierwszy w całej

mojej karierze spotykam się z sytuacją, w której praktycznie nikt nie jest bez winy, mimo że nikt własnoręcznie nie dokonał morderstwa. Jak ogromny wpływ mieli bliscy na decyzję Sary... Trzeba głośniejsze mówić o nieświadomym wpływie na cudze życie, bo często nie zdajemy sobie nawet sprawy, jak wielkie konsekwencje mogą nieść za sobą nasze poczynania. Przemoc - zarówno ta fizyczna, jak psychiczna i seksualna, zawsze jest zła, i nie możemy bezustannie szukać wymówek, by unikać za nią kary. Powinniśmy zrozumieć, że nawet jedna głupia decyzja może doprowadzić do tragedii. Gdyby Kate nie przepisała Sarze leków, tylko wysłała ją do psychiatry, gdyby Morganowie wspierali córkę, a nie zamykali problemów pod dywan, gdyby Steve nie zdradził żony...

To ich decyzje bezpowrotnie zakończyły życie Sary Morgan-Berg.

WYRÓŻNIENIE

Aleksandra Kubiak

godło: plaster15

„Schody”

Kiedy słońce schowało się za horyzontem i ptaki przestały śpiewać, po wsi rozeszła się wiadomość o tragicznej śmierci Antoniny. Kobieta nie doczekała się ani wielkiego orszaku pożegnального, ani morza wylanych łez ze strony mieszkańców wioski. Jedyne jej mąż Edward, który kochał ją nad życie, nie mógł poradzić sobie ze stratą ukochanej. Oboje byli bowiem uważani za dziwaków, gdyż zamiast towarzyskiego życia, pełnego zabaw i spotkań z mieszkańcami wioski, wybrali skromność i samotność na uboczu, tylko we dwoje .

Edward przez wiele miesięcy opłakiwał żonę, która była dla niego wszystkim. Ich dom, wcześniej wypełniony radością, stał się teraz szary i ponury. W kominku nie palił się ogień, a na fotelu stał tylko zbiór dramatów Shakespeare’a, które każdego wieczoru czytała Antonina. Dla mężczyzny świat stał się nagle czarno-biały. Zielone pola, łąki po których zawsze spacerował z żoną, były teraz bez wyrazu i wzbudzały w nim tylko większy żal po stracie jedynej mu bliskiej osoby. Mieszkańcy wioski nie przejmowali się stanem mężczyzny, jego samopoczucie było tylko kolejnym tematem do rozmów gospodyń, które spotykały się każdego wieczoru, aby poplotkować na temat mieszkańców.

Dni mijały, a Edward czuł się coraz bardziej samotny. Pewnej niedzieli, kiedy wracał z kościoła, słyszał ludzi, którzy za jego plecami rozmawiali o tym, jak bardzo zmienił się po śmierci żony. Brutalne przymiotniki, które miały opisywać jego stan, wywołały falę dodatkowego smutku i niezrozumienia. Nie potrafił wytrzymać już tego dłużej. Zobaczywszy walący się stary, kamienny mur za kościołem, wpadł na pomysł odzyskania swojej ukochanej.

Przez następne miesiące można było zobaczyć mężczyznę, jak codziennie przenosi kamienie spod muru na pole za jego domem. Chciał zbudować schody, schody do nieba, żeby chociaż przez chwilę być bliżej żony. Miesiące mijały, schody były coraz wyższe, zaciekawienie mieszkańców wioski coraz większe, a mężczyzna coraz bardziej zmęczony. W końcu Edward skończył budowę.

Mężczyzna był bardzo szczęśliwy na myśl o spotkaniu z żoną. Z tej okazji ubrał swoją najlepszą koszulę, odświeżone buty i spodnie od starego garnituru, które uszyła mu kiedyś Antonina. Edward stanął na pierwszym stopniu prowizorycznych schodów i zaczął się wspinać na szczyt. Nie odczuwał strachu, czuł radość i ulgę z powodu tak bardzo wyczekiwanego spotkania z ukochaną. Kiedy mężczyzna był już prawie na szczycie, jeden z kamieni nagle się obluzował.

Tragedię odkryto dopiero następnego dnia. Ciekawski mieszkaniec wioski, na prośbę swojej żony, chcąc sprawdzić postępy w budowie – przybył do wyśmiewanych schodów i zobaczył martwego Edwarda pod stertą kamieni. Drwiny, kpina i ukryte śmiechy nagle ucichły.

Kiedy słońce schowało się za horyzontem i ptaki przestały śpiewać - po wsi rozniosła się wiadomość o tragicznej śmierci Edwarda. Wszyscy mieszkańcy wioski wzięli udział w uroczystym pogrzebie, wszyscy opłakiwali mężczyznę. Może myśleli, że w taki sposób pozbędą się poczucia winy, które ich dręczyło, bo przecież to nie musiało się tak skończyć...

A Edward? Jako jedyny odszedł jasny i spokojny. Osiągnął swój cel. Pewnie teraz spaceruje z ukochaną po zielonych łąkach, ciesząc się wspólnym dniem.

WYRÓŻNIENIE

Julia Zagórna

godło: Preludium

„Muzyk”

Warkot maszyn nad moją głową. Dźwięk przecięcia nieba przez skrzydła żelaznego ptaka. W oddali stłumione przez lasy, strzały. W pobliżu zrozpaczone krzyki przeplatane łkaniem. To wszystko mnie otacza, otula dławiącym dymem, ale ja nie dam się temu złamać.

Wpatrzony w okno siedzę na parapecie. Za mną pani Amelia, kobieta o gołębim sercu i czepeczku na złotych włosach, uspokaja młodsze dzieci, wystraszone hukami. Przede mną obraz smętnej, pustej ulicy. Jestem niezwykle spokojny, obojętnie zapatrzonny. Pogodzony, ale tylko z zewnątrz. W środku — burza gniewu i niezrozumienia; bunt przeciw wyciu bombowców, strzałom zza drzew. Kiełkuje we mnie nienawiść do ludzi, którzy swoim podwładnym kazali robić to wszystko, do ludzi, przez których słyszę krzyki i płacz uspakajany łapczywymi wdechami.

Mam ochotę usiąść przed fortepianem, wyżyć się na klawiszach. Wygadać się rozbuchanym dźwiękom, po czym śmiać ze wszystkiego i kręcić na stołku. Jednak w sierocińcu nie ma fortepianu. Uderzam palcami w pustkę, przypominam sobie zimowe wieczory i duet z mamą. Nuty wirujące w gorącym powietrzu, nasze liczenie w języku francuskim, angielskim i polskim, trzaski ognia z kamiennego kominka, cichą rozmowę taty z moją starszą siostrą. Zapach herbaty z miodem i pierników polanych lukrem. Wszystko tak ciepłe, od głosu mamy, którym wypowiada kolejne liczby po poświęcie, otulającą pomieszczenie.

Dziwne, że tak szybko można stracić ten obraz na wieki. Już żadna z zim mi go nie przyniesie. Pierwsza gwiazda nie będzie błyszczeć tym samym blaskiem, a zimowa herbata nie będzie smakować tak samo.

Ześlizguje się z parapetu, omiatam pokój zabaw spojrzeniem. Prześlizguję się po otartych ścianach, drewnianych klockach, puchowych poduszkach. Zatrzymuję się na Amelii. Posyłam jej spojrzenie: *Idę. Może wróćę...*

- Ale na kolacji mam cię zobaczyć przy stole. W innym wypadku nie liczę, że cię jeszcze puszcze - mówi z uśmiechem, ale smutkiem w zielonych oczach. Patrząc przez chwilę na zmęczoną kobietę. Nigdy nie udało mi się zdążyć na kolację, ale postanawiam przemilczeć tę kwestię.

- Postaram się - odpowiadam.

Już kieruję się do drzwi, już chwytam zimną klamkę. Gdy w uszach rozbrzmiewa mi moje imię, wypowiedane troskliwym głosem:

- Aleks, zagraj dziś tę o gwiazdach, dobrze?

Nie odwracam się. Czuję, jak moje źrenice zmniejszają się gwałtownie, jak żołądek zaplątuje się w supełek. Wpatrzony w swoją dłoń kiwam niemo głową. Otwieram drzwi, wybiegam z pomieszczenia. Biegnę korytarzem, mijam zdziwione opiekunki i jeszcze bardziej zaintrygowane dzieciaki. Zatrzymuję się dopiero na ulicy. Odwracam się. W jednym z okien widzę Amelię kołyszącą dziewczynkę z dwoma warkoczami po bokach głowy. Przez te kilka metrów, przez firankę i brudną szybę widzę błysk w jej oku.

Powoli ruszam ulicą, na którą patrzyłem jeszcze przed chwilą. Jest tak samo cicha, smętna i zburzona, jak codziennie. Patrzę w okna mijanych kamienic, zastanawiając się, czy tam mieszkają jeszcze ludzie, czy tylko pozostały ich cienie, a może nie pozostało już nic.

Tydzień temu, kiedy jak co dzień wyruszałem na spacer, minęła mnie ciężarówka. Każda część mnie kazał mi za nią biec, usłuchałem. Pojazd zatrzymał się przed starą kamienicą.

Wysiadło dwóch mężczyzn. Weszli do budynku. Krzyki, płacz, uderzanie jakąś pałąk w coś drewnianego. Nagle znajome mi dźwięki. Klawisze, palce biegające po białych płytkach. Melodia wyleciała z otworzonych okien, kaleczona brakiem muzycznego słuchu grającego. Wypełniła ulicę, zahipnotyzowała mnie swoim topornym brzmieniem, którego nigdy nie słyszałem. Zupełnie jakby instrument płakał nad losem swojego właściciela i nad tym co rozkazuje mu robić zupełnie obcy człowiek.

Wychodzą, dwoje mężczyzn prowadzących czteroosobową rodzinę. Nie pamiętam momentu, w którym wsiadali na ciężarówkę. Obraz bowiem w tamtej chwili zupełnie stracił na ostrości przez łzy wypełniające moje oczy.

Stoję teraz przed ich kamienicą i przypominam sobie tamten dzień. W duchu modłę się za nich i dziękuje im za prezent, który zostawili w tym domu. Czuję, że teraz moim obowiązkiem jest dbanie o to lokum, gdy jego właściciele nie mogą.

Wchodzę przez duże i ciężkie drzwi na klatkę schodową. Schodami w górę, drugie piętro, mieszkanie numer osiem.

Wkładam mały kluczyk w kłódkę. Uchylam drzwi i wślizguję się do przedpokoju. Zapach kurzu natychmiast wdziera się do moich nozdrzy. Oczy, choć znają już ten obraz, suną po zdemolowanych, drewnianych meblach. Ściągam buty i odstawiam je na półeczkę obok zostawionych pantofli domowników. Przechodzę do korytarza. Na samym końcu jest łazienka, po prawej kolejno od wejścia pokój dzienny, za nim znajduje się kuchnia, po drugiej stronie sypialnia i mały składzik.

Wbiegam do salonu. Dawniej stały tu biblioteczki, ale teraz ich fragmenty znajdują się w składziku. Książki, nie zależnie od ich stanu, poukładałem w stosy. Na środku pokoju stoi stół z lekko podrapanym blatem. Firanki mają szary odcień, potem są już czyste szyby, ale za to za nimi ta smętna, zdemolowana ulica. Naprzeciwko biblioteki stoi tapczan, a obok niego fotel. Obie te rzeczy są w nienagannym stanie, pałka

tamtych ludzi je ominęła. W pokoju jest mnóstwo doniczek, wszystkie w białym lub jasnoszarym kolorze. Rosną w nich kwiaty, składające się tylko z liści.

Jest i on. Majestatyczny, potężny, ale i lekki, świeży. Jego jasne drewno lśni w strugach słonecznego światła. Potężna kłapa uniesiona i podparta, kłapa na klawisze opuszczona. Stoi w kącie, a przed nim krzesło, które przyniosłem z kuchni. Obok, największa z roślin, palemka.

Podchodzę do niego powoli, jakbym nie do końca wiedział, co robię. Białe i czarne kafelki mają w sobie magnesy, drugie są w moich palcach. Przechodzę koło stołu, omijam wygodny fotel. Staję przed nim i patrzę na niego, jak na coś niezwykłego, przyniatającego swoją potęgą.

Odsuwam krzesło, czemu towarzyszy cichy pisk parkietu. Siadam i przez chwilę tylko siedzę, tańcząc wzrokiem po refleksach na drewnianej kłapie. Powoli ją podnoszę, ukazując mi się klawisze. Zawieszam dłonie nad kilkoma płytkami. Wielki wdech, pierwsze dźwięki.

Melodia powoli płynie. Wiruje w powietrzu, drga mi w uszach. Przenika każdą komórkę mojego ciała i duszy. Tworzy obrazy, miraże, nad którymi mam kontrolę. Każdy mój ruch odbija się echem od ścian pomieszczenia, od książek i doniczek. Gram powoli, nie spieszę się, choć wszystko we mnie rwie, jak Amazonka, o której czytał mi tata. Jednak zwlekam. Na razie moja muzyka wlecze się i przeciąga, niczym leniwy kot w płamie popołudniowego żaru. Zatapiam się w to, ale pod kontrolą. Wszystko, co się dzieje, jest ode mnie zależne. Instrument mnie słucha, a ja słucham jego pracy.

Nagle zatrzymuję się. Moje palce znów zawieszają się nad klawiaturą. Dyszę, ale nie z wysiłku a emocji. Przeliłam ślinę, wdech. Zamykam oczy, a moje palce same znajdują odpowiednie klawisze i je naciskają. Znów powoli, ale teraz to tylko podbudówka do prawdziwej nawałnicy. Cisza przed burzą. Pokój przed wojną.

Wtem burzę tamę Amazonki. Palce zaczynają latać, jak szalone, a ja wyżywam się w tym wszystkim. Spowiadam się fortepianu z krzywd, jakie mi wyrządzono. Ze strat, jakie poniosłem. Opowiadam mu o wieczorach w gronie rodziny, o mamie, o tacie, o siostrze. Wypłakuję się dźwiękom, które otaczają mnie ciasno w swych ramionach, a ja jedynie cicho oddycham. Po to, aby gdy wyjdę z pomieszczenia, opuścić mieszkanie numer osiem, zejść schodami w dół, wybiegnę na ulicę, żebym znów mógł udawać, że wszystko w porządku. Wrócić na scenę, grać swoją rolę, jak trzeba.

Zakończam swoją gwiazdną piosenkę, której słów nie pamiętam, ale nuty mam wyryte we wspomnieniach.

Przekręcam kluczyk w kłódce. Schodami w dół, opuszczam starą kamienicę oraz mieszkanie z fortepianem. Powoli ruszam ulicą. Mrok przysłania smutek, jaki panuje wokół. Gwiazdy i księżyc lśnią nocnym blaskiem, oświetlając tylko to, co potrzebne. Ich światło jest chłodne, jak srebro, wyrafinowane, szlachetnie dumne. Nie tak,

jak u szalonego słońca, które przygrzewa w głowy rolników i wszystko rozświetla swoją gorącą barwą. Letnie południa pamiętam jako wspaniałe przygody ze swojego starego życia. Teraz, tutaj w mieście, o wiele bardziej wole noce.

Idę powoli. Nigdzie mi się specjalnie nie spieszy. Na kolację jestem już spóźniony. Do sierocińca będę musiał wejść oknem, ponieważ dawno zamknięto główne drzwi. Mijam kolejne kamienice, idąc ocienioną stroną chodnika. Nie powinno mnie tutaj być, godzinę policyjną ogłoszono jakieś dwie godziny temu, więc czternastolatek na ulicy o północy jest podejrzanym widokiem. Ja jednak mam chodzenie po nocach opanowane do swoistej perfekcji. A najlepszym na to dowodem jest fakt, że jeszcze żyję. Wkładam ręce do kieszeni, odchylam głowę do tyłu. Patrzę w tysiące małych, żarzących się punkcików, naszytych na nieboskłon, idealnie wpasowanych do towarzystwa księżycy.

Przypominam sobie słowa mamy: „Jesteś moim romantykiem, który piękno i sens dostrzega w nawet najdrobniejszej z rzeczy”. Ja i moje „Bleee...” w odpowiedzi byliśmy wtedy bardzo niedojrzali. Teraz wiem, że romantyk to nie tylko osoba, która jako pierwsza podchodzi do dziewczyny na szkolnej imprezie. To też bogato emocjonalny człowiek, który znajduje sens w pięknie i piękno w prawie każdym i wszystkim. Moja mama się nie myliła, choć ja niestety widzę też to złe piękno. Ja zauważam sens oraz bezsens, tłumaczę dane zjawisko na swój sposób, nie zawsze podpisując je pod kategorią piękne.

Wojna nie ma w sobie nic z piękności, oprócz tego co dzieje się niekiedy naokoło niej. Prawdziwa odwaga, prawdziwy patriotyzm. Uwalnia się duch obywatelskiej odpowiedzialności i życzliwości dla drugiego człowieka. Oczywiście to sporadyczne przypadki, ale są i tacy, którzy okazują się dobrzy w obliczu tej katastrofy. A to najwspanialsze dobro. To właśnie oni są pięknem w piekle, sensem w nicości. Amelia i ludzie, którzy mi pomogli po ataku bombowym, wtedy gdy straciłem swoją rodzinę. Są moją małą nadzieją na to, że we wszystkim i wszystkich jest coś dobrego. Ale nadzieja a rzeczywistość się niestety często mijają.

Już widzę sierociniec i okno do pokoju Amelii, od którego bije ciepła poświata. Przykro mi, że ją tak martwię. No cóż, niestety gra na fortepianie to coś, co nie mogę sobie odpuścić. Bez tego dawno już bym stracił swoją piękną część. Zatracił się w zimnie wojny.

Obchodzę budynek dookoła. Od strony niewielkiego ogrodu jedno z okien jest uchylone, specjalnie dla mnie. Wślizguję się bezszelestnie do środka. Znajduję się w jadalni. Stoły poustawiane są w rządkach, przykryte papierowymi obrusami. Pachnie tutaj domowym jedzeniem. Przypominam sobie, że jestem głodny i automatycznie robi mi się żal sierocińców, które muszą wykarmić tak dużo głodnych dzieci. Z tego również powodu poczekać muszę do rana i dość przewidywalnego śniadania, składającego się z owsianki albo kanapek z dżemem.

Idę korytarzem do pokoju Amelii. Muszę jej dać znać, że nic mi nie jest i bezpiecznie

wróciłem. Nie zasnąłbym, wiedząc, że się o mnie martwi. Staję przed jej drzwiami. Moje buty oświetla smuga światła wypływająca z pomieszczenia. Biorę wdech, pukam.

Drzwi się uchylają, Amelia wygląda na ciemny korytarz i patrz wprost na mnie. — Nareszcie jesteś! - Otwiera na oścież, wpuszcza mnie do środka, ale stoję w miejscu. - Wchodź, śmiało.

Waham się przez chwilę, ale koniec końców przechodzę przez futrynę, mijam Amelię i zatrzymuję się na czerwonym, okrągłym dywaniku.

Choć opiekunka mieszka tutaj przez całą dobę, siedem dni w tygodniu pokój jest urządzony minimalistycznie, bardzo minimalistycznie. Nie ma tu nic oprócz łóżka, fotela i krzeselka, małej komódki, świecznika oraz stolika, na którym stoją w stosach książki. Rozglądam się nieśmiało, aż w końcu słyszę, jak Amelia zamyka cicho drzwi. Kobieta kierując się do fotela i siada ciężko, kładąc ręce na podłokietnikach.

- Siadaj, Aleks. Pogadajmy. Nie mieliśmy ostatnio okazji zamienić nawet dwóch zdań.

Patrząc na krzesło. Opadam na jego siedzisko dość drętwą, ale gdy już siedzę, uspokajam się nieco.

Słyszę głęboki wdech. Powietrze drga powoli, leniwie. Ani mnie, ani Amelii się nie spieszy. Nie mamy gdzie pędzić. Cieszymy się tą poświatą, spokojem i mozołem. Tym, że żyjemy i mamy realną szansę przeżyć jutro. Ludziom takim, jak my, w niebezpieczeństwie takim, jak wojna, nie spieszy się w momentach takich jak ten. Przepelnionych ciepłem, bezpieczeństwem i spokojem. Jakie mamy szczęście, że jesteśmy tu i teraz?

- Dziękuję — mówi nagle opiekunka.

Przyglądam się jej. Jej zielonym oczom i rumieńcom na policzkach, brudnej sukience i włosom spiętym w koka.

- Za co? Za gwiazdną piosenkę?

- Tak. Była piękna.

- Jeszcze piękniejsze były słowa, ale uczono mnie ich, gdy nie rozumiałem ich sensu, przez co nie zapamiętałem nic. Jednak melodię pamiętam doskonale, jej delikatność na początku, nagły skok i wielką burzę, która urywa się na końcu bez żadnego ostrzeżenia — tłumaczę wpatrzonej w świecę na komodzie. Przenoszę wzrok na zasłuchaną Amelię, która wpatrzona we mnie lekko uchyliła usta.

- Jestem pod wrażeniem tego, jak opisujesz to co cię otacza. To bardzo rzadki talent u chłopaków w twoim wieku.

Wzdycham. Ta cecha mojego charakteru to dość męczący fragment mojej duszy. Zdarzało się już, że nie usnąłem, dopóki czegoś nie zrozumiałem. W ten sposób, kiedy byłem młodszy, mama musiała mi nieraz tłumaczyć zachowania bohaterów książek lub ludzkie uczucia. W innym wypadku cały czas o tym rozmyślałem. Wysłuchiwała mnie tylko moja mama, teraz wygaduję się muzyce i ceniom dawnego życia.

- Tak już mam - odpowiadam krótko, po czym znów zapada cisza.

- Myślałeś kiedyś, aby samemu coś skomponować? - Pytanie to uderza mnie z nieprawdopodobną siłą.

Patrzę zdziwiony, z pytaniem w oczach, na kobietę, o tak dobrym i ciepłym sercu. Zastanawiam się, co chciała przez to powiedzieć. Oddycham równo, w mojej głowie burza. To jest dopiero dobry pomysł. Co by z tym zrobić? Wyrzucić z siebie wszystko, stworzyć coś własnego, coś, co opowie moją historię, co przekaże moje myśli powietrzu, bo słowa nie dają rady? Dlaczego ja na to nie wpadłem, a może wpadłem, ale mój rozum gdzieś to zepchnął do krainy głupich pomysłów?

- Co o tym myślisz? - pyta Amelia, przekręcając pytająco głowę. - Wszy... - Tak - przerywam jej. - W jak najlepszym. To jest bardzo ciekawy pomysł. Jednak... - waham się nad słowami - nie wiem, czy dam radę.

- Ale spróbować przecież możesz. W dodatku ja uważam, że nie będziesz miał z tym problemu. Po prostu musisz przelać swoje emocje w odpowiednie miejsce. - Uśmiecha się do mnie szeroko, odpowiadam instynktownie tym samym.

- Chyba ma pani rację.

Amelia odprowadza mnie do sypialni chłopców. Zostawia mnie pod jej drzwiami z dobranoc na ustach. Wślizguję się do pomieszczenia i idę przez mrok do swojego łóżka.

Kładę się pod kołdrą i wtulam głowę w poduszkę. Jestem bardzo zmęczony, oczy same mi się zamykają pod ciężarem powiek. Jeszcze udaję mi się wyobrazić sobie majestatyczny fortepian, po czym zabiera mnie sen, tak głęboki, że nie pamiętam z niego nic.

Rano wyskakuje z łóżka, jak z procy i szybko okazuje się, że to był głupi pomysł. W głowie zaczyna mi wirować, tracę równowagę, upadam z hukiem na podłogę. Dwadzieścia głów unosi się nad poduszki. Tak o to zorganizowałem pobudkę dla całej gromadki chłopców.

Śniadanie, jak zwykle odbywa się w atmosferze głośnych rozmów i zabaw. Ja dziś w nich nie uczestniczę. Rysuję na kartce pięciolinię, jedną ręką operując łyżką, a drugą kierując ołówkiem. Nie słyszę hałasu wokół, nie czuję smaku owsianki. Nie rejestruję, kiedy przenoszę się do ogrodu. Znajduję się w jakimś dziwnym transie. Świat jakby zwolnił. Bieg dzieci, lot ptaków, krzyki, śmiech, piłki w powietrzu. Dźwięki dochodzą do mnie w stanie z *zaświatów*. Zdeformowane i ciche. Nagle zostaje tylko obraz. I cisza.

Patrzę na kartkę. Nuty zaczynają drgać. Nicość wypełnia się muzyką. Radosne brzmienie, lato wypełnione śmiechem i zabawą. Wszystko, co działo się przed wojną zamknięte w melodii, rozbawiona, lekko szalona i ciekawostką. Odbicie mnie, gdy byłem mały, przedstawienie mojej rodziny. Wieś, na której się wychowałem, jej żywa zieleń i zapach traw. Dziecko, które jest nieświadome

zarazy, jaka ztruwa dorosłych, niesłuchające wiadomości, które przychodzą ze świata. Słodko nieświadome niebezpieczeństwa. Cały świat rzeczywisty uderza mnie znienacka. Trans się kończy. Ruch i głos wróciły do swojego pierwotnego stanu. Unoszę głowę, z powietrza wyłapuję zaproszenie do zabawy, wykrzyczane przez chłopaków na boisku. Odkładam kartkę i ołówek. Oddaje się grze. Beztroski świat na podwórku kończy się wraz z rozpoczęciem ulewy. Opiekunki, na czele z Amelią, ze śmiechem zaganiają nas do środka. Zabieram swoje rzeczy i wskakuję do jadalni, gdzie w większości przeniosły się zabawy. Ja jednak oddalam się od beztroskiej dzieciarni, pochłoniętej swoimi zajęciami. Siadam w kącie pomieszczenia. Przez dłuższą chwilę nic nie mogę wymyślić. Patrzę tępo w nieco zmiętą kartkę. Nie wiem, czy to dlatego, że wszystko wokół mnie drży od hałasu, czy dlatego, że temat jest dla mnie tak trudny. Jestem jednak zmuszony do tego, aby sobie przypomnieć. Jestem niemal pewien, że wspomnienia same mnie zaciągną i każą się spisać.

A więc wspominam. Słyszę wycie syren i złowrogi warkot maszyn. Huki, które rozrywały powietrze tamtego dnia. Widzę schody do piwnicy i ciemność jej wnętrza, inne dzieci wystraszone na amen. Czuję w nogach drogę, jaką przebiegłem do domu, ale nie zobaczyłem mamy stojącej na gangu z rękami wyciągniętymi do mnie, ani starszej siostry, które grzebała w grządce kwiatów. Tylko zgłiszcza i szara ziemia. Popiół dawnych wspomnień i całego mojego życia. Wszystko utracone. Nad ziemię unosi mnie mężczyzna. Wierzgam i krzyczę pod niebiosy, ale marne mam szanse z jego siłą. Szepcze coś do mnie cicho, lecz nic nie rozumiem. Zostałem szybko uświadomiony, pokazano mi w mniej niż godzinę, czym jest ta zaraz, o której tak głośno. Po nieświadomym dziecku pozostały zgłiszcza tak jak po moim rodzinnym domu. Czuję, jak pieką mnie oczy i we wspomnieniach, i w rzeczywistości.

Odrywam ołówek od kartki. Na policzkach mam wyrysowane ślady po łzach. Ocieram te mokre smugi rękawem. Rozglądam się w popłochu po sali. Wsłuchuję się w śmiechy i rozmowy. Chwilę mi zajmuję, zanim znów staję się spokojny, a serce nie stara się wyskoczyć mi z piersi. Przenoszę wzrok z powrotem na kartkę. Wszystko cichnie, zaczyna się ten dziwny trans, dzięki któremu słyszę muzykę bez instrumentu.

Z pośpiechu nut wyczuwam gryzący swąd dymu i słyszę swoje rozkołatanе serce. Ostre brzmienie, takie jak mój ból. Rozedrgane, zdenerwowane, wszystko robiące w nerwach, biegnące, gdzieś bez ustanku i opamiętania. Nagle zupełnie rozdarte. Cichnie, przeradza się w ucieleśnienie rozrywającego smutku, rozpacz, niegojącej się rany. Ciągłe roztrzęsione, ale teraz o wiele wolniejsze. Zupełnie bezradne, ale jeszcze walczące. Jednak coraz bardziej słabnące. Słabnie i słabnie, aż zupełnie cichnie.

Wstaję, aby rozprostować nieco nogi. Chodzę tam i z powrotem, ciągle jeszcze roztrzęsiony. Wtem z tego stanu wrywa mnie obiadowy dzwon. Śmiechy i krzyki cichną w skupieniu, ale po chwili znów się podnoszą, z dwukrotną siłą. Dzieciaki zasiadają przy podłużnych stołach. Rozlega się pisk odsuwanych krzeseł. Ja się nie spieszę. Spokojnie kieruję się do swojego miejsca. Obiad zjadam bez apetytu,

właściwie praktycznie go nie ruszam.

Siadam na parapecie. Patrzę na smętną ulicę. Szykuję się emocjonalnie na napisanie trzeciego aktu, ale zupełnie nie czuję się na siłach. Wyciągam jednak trochę zmiętą kartkę i nieco obgryziony ołówek. Zamykam oczy, biorę kilka głęboki wdechów.

Moja melodia zaczyna się od kilku nieśmiałych dźwięków, cichych i jakby wystraszonych nową sytuacją. Tak, jak ja w pierwszym dniu pobytu w sierocińcu. Nutki drgają jeszcze roztrzęsione, ale już nie aż tak, jak w drugim akcie. Nagle linia melodyczna rozchodzi się na dwie ręce. Pierwsza wciąż gra niepewne dźwięki otulone płaszczykiem strachu, druga zaś jest pewna, ciepła i pomocna. Podpiera, podnosi na duchu. Pierwsza dłoń zaczyna grać pewniej, jej nieśmiałość powoli przeradza się w spokój i... chłód. Tak, patrząc na siebie przez pryzmat całego swojego życia, stwierdzam, że jestem niezwykle oschły, a przynajmniej najbardziej w swojej ziemskiej karierze. Linia melodyczna ponownie się scala. Dźwięki wirują jeszcze powtarzalnym nurtem kilka sekund, aż dzieje się coś, czego sam się nie spodziewałem. Mój ołówek zapisuje toporne dźwięki, jakie usłyszałem podczas arestowania rodziny. W ten pamiętny dzień, który zapamiętam na wieki. Płacz fortepianu nad losem swoim i swoich właścicieli. Następnie znów ładna melodia, opowieść naszego zapoznawania się. Znów nieśmiałość, ale coraz bardziej i bardziej pewna. Nasze pierwsze wspólne dźwięki i moje sprzątanie mieszkania. Zakańczam radosnymi nutkami wirującymi w powietrzu, przedłużonymi do maksimum.

Uśmiecham się sam do siebie. Zauważam, że brakuję jeszcze jednej rzeczy. Rozglądam się po pokoju zabaw. Szukam wzrokiem Amelii, znajduje ją w fotelu. Patrzę na nią wymownie z prośbą w oczach. Opiekunka wzdycha i ściąga dziewczynkę ze swoich kolan. - Co się dzieje, Aleks? - pyta, gdy znajduję się już tuż obok mnie.

- Jeśli do swojej piosenki użyję fragmentu z gwiazdnej piosenki, to czy to będzie plagiat?

Patrzymy na siebie poważnie, oboje nieco zdziwieni. Nagle Amelia wybucha śmiechem, a ja zmieszany spuszczam głowę i przygryzam dolną wargę. - Przepraszam. Myślałam, że skomponował ją twój tata..

- Bo tak jest. Ale... ale nie wiem, czy by sobie tego życzył.

Czuję, jak chwyta mój podbródek. Robi to niezwykle delikatnie, a ja się temu zupełnie poddaję. Nakazuje mi ruchem spojrzeć sobie w oczy, więc i to robię.

- Jestem pewna, że by się nie pogniwał. A właściwie, że byłby bardzo szczęśliwy. Uśmiecha się do mnie ciepło, odpowiadam tym samym. Mam nadzieje, że moje oczy wyrażają wdzięczność, jaką teraz czuję.

Amelia odchodzi, wcześniej mierzwiąc mi odrobinę włosy. Natychmiast chwytam za kartkę i zapisuję na niej pierwsze nuty gwiazdnej piosenki, jako hołd. Czytam w duszy całość, wyobrażam sobie, jak gram ten utwór na fortepianie. Wśród doniczek, książek i powietrza pełnego kurzu.

Moja autorska piosenka bez słów, sama melodia, opisująca całe moje życie od emocjonalnej, duchowej strony. Przedstawienie mojej rodziny, mojego domu.

Cały następny dzień przeżywam w atmosferze zniecierpliwienia. Wszystko robię w nerwach, nie mogę usiedzieć nawet kilku chwil w spokoju. Nasłuchuję obiadowego dzwonu, ale ten milczy, jak zaklęty. Dopiero po piętnastej rozlega się bicie, które wprowadza cały budynek w drganie.

Gdy zjadłem, albo bardziej przemęczyłem, swój posiłek, natychmiast zameldowałem się w pokoju zabaw gdzie czekała na mnie Amelia.

- Już uciekasz? - pyta, stając przy mnie.

- Tak. Dłużej już nie wytrzymam.

- Rozumiem, ale proszę cię, uważaj na siebie, dobrze?

Kiwam głową potakująco, po czym odwracam się i wybiegam z pomieszczenia, biegnę korytarzem, wyskakuję przez drzwi na świeże powietrze. Po kilku minutach już stoję przed kamienicą. Serce uderza mi o żebra, oddech jest urywany. Wchodzę na klatkę schodową, w górę, mieszkanie numer osiem, otwieram kłódkę, uchylam drzwi, wślizguję się do środka. Ściągam buty, odkładam je obok pantofli właścicieli. Oddycham głęboko, gryzie mnie kurz. Wchodzę do korytarza z korytarza do pokoju dziennego... tam stoi on. Majestatyczny i potężny. O lśniącem drewnie, błysku na otworzonej klapie. Zaszczycą wszystko wokół swoją obecnością i wszystko wokół czuję do niego szacunek.

Powoli do niego podchodzę. Siadam na krześle przed jego majestatem. Z namaszczeniem unoszę klapę na klawisze. Rozkładam karteczkę z pięciolinia na pulpicie. Zaczynam grać szybki utwór na rozgrzewkę. Na takiej zabawie mija mi godzina, dopiero po tym czasie biorę głęboki wdech. Mierzę pierwszą linijkę zapisaną nutami, przenoszę wzrok na klawisze, po czym na palce.

Czy dam radę? Czy to będzie brzmieć dobrze?

Obawy, strach, niepewność. To wszystko krąży mi w głowie z zawrotną prędkością. Ale nagle cichnie. Wszystkie myśli odlatują gdzieś, przestają mnie dręczyć. Palce dotykają zimnych klawiszy, ale jeszcze zbyt delikatnie, aby fortepian wydał z siebie dźwięk. W końcu się dzieje. Gram kilka pierwszych nut. Każda komórka mojego ciała drży na dźwięki, jakie rozrywają powietrze swoim radosnym brzmieniem.

Nagle zatrzymuję się. Dyszę tak, jak dwa dni temu, ale teraz z szerokim uśmiechem na ustach. Wręcz widzę, jak karty mojego życia otwierają się i zamykają. Czuję, jak zatraskują pewien rozdział. Zostawiam za sobą przeszłość. Swoją rodzinę już zawsze będę nosił w sercu, ale zostawiam za zamkniętymi drzwiami ciężkie przeżycia i te wszystkie katastrofy. Chcę zacząć od nowa, patrzeć w przód na swoje życie. Dalej w zgodzie ze sobą, ze swoim wewnętrznym *romantykiem*.

Tak o to moja piosenka, daje mi nowe życie. Życie, w którym ludzie pokażą mi, co dokładnie znaczą złe *piękno*.

PROTOKÓŁ
XV Ogólnopolski Konkurs Literacki OKNO

Konkurs objęty honorowym patronatem:

Prezydenta Miasta Chorzów,
Marszałka Województwa Śląskiego.

Patronat promocyjny/medialny objęli:

Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach – Redakcja Miesięcznika Społeczno -
Kulturalnego „Śląsk”,
Wydawnictwo „ISKRY”,
portal „chorzowianin.pl”.

Jury w składzie:

1. Barbara Janas-Dudek – poetka, współorganizatorka Portu Poetyckiego w Chorzowie, animatorka kultury. Autorka czterech tomów wierszy. Laureatka kilkunastu konkursów poetyckich.

2. Katarzyna Zwolska-Plusa - poetka, prozaiczka, nauczycielka, tutorka. Jedna z redaktorek Babińca Literackiego. Laureatka Nagrody XIX Światowego Dnia Poezji UNESCO.

3. Marcin Rokosz - poeta, polonista, filolog. Członek Klubu Literackiego “Barwy”

Po przeczytaniu 449 zestawów prac (poezja – 171 zestawów wierszy, proza – 278 utworów) i posiedzeniu (on-line) **w dniu 21 maja 2021 roku** postanowiło przyznać następujące miejsca:

POEZJA w kategorii uczniów urodzonych w latach 2009-2011:

I miejsce – Daniel Czuj za zestaw wierszy, godło *JELONEK*

II miejsce – Wiktoria Macior za zestaw wierszy, godło *EftepWomen*

III miejsce – Aleksander Tosik za zestaw wierszy, godło *OT 2011*

PROZA w kategorii uczniów urodzonych w latach 2009-2011:

I miejsce – Natalia Maślej za utwór pt. „*Kwiaty tańczyły na wietrze*”, godło *Azshara*

II miejsce – Kinga Świtoń za utwór pt. „*Okno*”, godło *WRAŻLIWIEC*

III miejsce – Natalia Dudek za utwór pt. „*Roxy, pies - wilk*”, godło *Nimani*

Wyróżnienie :

Oliwia Wieloch za utwór pt. „*Idzie Chopin i Bach*”, godło *wHermiona_77*

POEZJA w kategorii uczniów urodzonych w latach 2005-2008:

I miejsce – Dobrochna Koloczek za zestaw wierszy, godło *AGATHA*

II miejsce – Weronika Drewniak za poemat pt. *”W pociągu z Maharishim”*,
godło *ELEANOR RIGBY*

III miejsce – Agnieszka Rosińska za zestaw wierszy, godło *AgaR13*

Wyróżnienie :

Adam Porębski za zestaw wierszy, godło *ADAMUS*

Wiktor Forycki za utwór *”Warto?”* oraz *”Lady”*, godło *Husar*

PROZA w kategorii uczniów urodzonych w latach 2005-2008:

I miejsce – Natalia Cyrkowicz za utwór pt. *„Wirgilla”*, godło *Ancymonek*

II miejsce – Estera Malatyńska za utwór pt. *„Pan Wróblewski”*, godło *Szczupak*

III miejsce – Maja Bury za utwór pt. *„Sara Morgan-Berg”*, godło *AMETYST*

Wyróżnienie :

Aleksandra Kubiak za utwór pt. *„Schody”*, godło *plaster15*

Julia Zagórna za utwór pt. *„Muzyk”*, godło *Preludium*

Jurorzy podkreślili wysoki poziom nadesłanych prac, a ponieważ nie będzie możliwości organizacji uroczystego podsumowania konkursu, zgodzili się na udostępnienie laureatom mailowych adresów kontaktowych. W ten niedoskonały sposób będzie możliwość wymiany spostrzeżeń, uwag dotyczących nagrodzonych tekstów i twórczości literackiej w ogóle.



Młodzieżowy Dom Kultury
w Chorzowie